



BIBLIOTHECA
UNIV. JAGELL.
CRACOVENSIS

~~Lat. 26280~~
26280

3 Mag. St. Druk. P.



26280

I

Freie Tomu 3.

[Molière]

1. Krystolewicz.

Komedja w 3 aktach.

[Barthé]

2. Nie wierność zmyślona.

Komedja w 1 akcie
z franc.

3. [Molière]. Świętoszek
zmyślony.

[5 aktów]

2

100

100

100

100

100

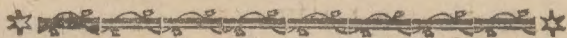
100

100

100



SWIĘTOSZEK ZMYŚLONY



A K T I.

S C E N A I.

POBOZNICKA, PODSĘDKOWA,
KUNEGUNDA, WINCENTY,
PODSTOLI, ZOSIA.

POBOZNICKA.

Ach! zachoway Boże, żebyś dłużey na te
zgorśzenia patrzeć miała.

PODSĘDKOWA.

Wszak nigdy winnego WmćPani Dobrodzi-
ce nieubliżamy uszanowania, coż tak gorzą-
cego czyniemy?

A

POBOZNICKA.

O! aż nadto mnie, W Panine gorszą postępkę; alboż się to tak za moich czasów pobożne y cnotliwe iprawowały żony? ustawicznie na zchadzках, redutach, spacerach, y rozrywkach. A do Kościoła paż, na Mszę ledwo w Niedzielę, bo świąt już niema, nawet W Pani Godzinek, ani Rożańca codzieli nie odmawiał, Przebog! co to za rozwiożłość!

ZOSIA.

Alboż to Artykuł Wia . . .

POBOZNICKA.

Ciszey moja kochana Waści milczeć należy, a nie w każdy się wtrącać dyskurs.

WINCENTY.

Ale Mościa Debrodziko! czy to koniecznie...

POBOZNICKA.

Y z Waści wielkie ładaco, Bogoboyności żadney niemaż, uciekaż, kiedy zemną maż iść do Kaplicy, albo na Stacye, już do Mszy slużyć nie chcesz, znać ztąd, że człowiek będzież rozwiożły, y oyciel twoy żadney z ciebie pociechy mieć nie będzie.

KUNEGUNDA.

Zdaie mi się. . .

POBOZNICKA.

Y ty się odzywaz moia Panienko! powinnaś mieć więcey skromności, wcale to na stan, y

wiek twoy nie przystoi, abyś się z tą młodzie-
żą swywołną, która tu dzień y noc prześiada,
wdawała, o! iak się to teraz niewinna udaie,
myślał by kto, że to Aniołek; ale znam ia się
na tey zmyśloney skromności, te ciche wody
naybardziej brzegi rwać zwykły.

PODSEDKOWA.

Przecież Mościa Dobrodziko...

POBOZNICKA.

Wstydź się moja Synowo, że tak złe przy-
kłady swym dzieciom daiesz, twoy sposób ży-
cia w cale mi się nie podoba, fortunę mężowi
tracisz, oto się stroisz iakby Xieźna iaka, o! kto-
ra uczciwa żona mężowi swemu tylko się chce
podoać, nie potrzebuie tyle stroiów, y zby-
tków.

PODSTOLI.

Alboż to Mościa Dobrodziko...

POBOZNICKA.

Y W Pan ich utrzymuiesz Stronę? o wiem,
wiem oślicznych zdaniach Jego, nauczyłeś się
iż w Warszawie tego wolnego, myślenia spo-
sobu, Moś Panie, gdybym była Szwagrem Wm
Pana, weyścia bym mu do domu tego odmo-
wiła; nie tajno mi iak zawięcie z tym swywo-
nikiem (*pokazuje Wincentego*) Pana Obludnic-
kiego prześladaiesz, buntując dom cały na niego.

WINCENTY.

Jakże szczęśliwy ten kochany Faworyt Wé
Pa-

Pani Dobrodziki; hoy! gdybym i tak dobrze był
położony w iey sercu, pewniebyś mi dawno
Wioskę iaką wypuściła.

POBOZNICKA.

Bo też to człowiek arcy pocziwy, pobo-
żny, y świętobliwy, y nigdy tego niecierpie,
żeby go taki młokos rozpuśtny, iak ty, miał
prześladować.

WINCENTY.

Co! a ia mam cierpieć, żeby ten hołysz oblu-
dny, który niewiedzieć z kąd przyszedł, tak ty-
rańskiey nademną używał mocy? wszystkie
czynności moje, choć nayniewinnieysze, kryty-
kował; y oycą na mnie narażał?

ZOSIA.

To człek wcale nieznośny, podług prawideł
ego wszystko iest występkiem, bo ten Zelant
gorliwy wszystko gani, wszystko nicuie.

POBOZNICKA.

On tylko życie wasze rozwiozie gani, y chce
was na drogę zbawienną naprowadzić. Moy-
szyn wszystkich frzodkow użyćby powinieś, że-
byście cnotę tego pobożnego człowieka nasla-
dowali.

WINCENTY.

Nikt mnie na świecie do tego przymusić nie
potrafi; zdradziłbym serce moje, które ku te-
mu obłudnikowi nieprzekonaną cierpi wstrę-

tność; y boię się, żebym kiedy iakiey straszney,
z nim nieuczynił historyi.

ZOSIA.

Cała Warszawa temu się dziwi, że ten go-
leć, który tu w podartey przyszedł łachmanie,
tak Jego Mością powodnie, y tyle z ukrzy-
wdzeniem dzieci własnych od niego korzysta
wszak Jegomość tak w nim zaufany, że mu Rząd
samowładny domu całego y straż nawet żony
y dzieci swoich powierzył.

POBOŻNICKA.

Y coż z tąd? otoż to dowodem iego rozstro-
pności, bo gdyby się podług woli Pana Obłu-
dnickiego wszystko działo, mnieyby daleko by-
ło nie porządku, swywoli y rozwiozłości w tym
domu.

ZOSIA.

W Pani Dobrodzika masz go za Świętego
człowieka, a iabym przyśięgła, że Pobożność
iego na pozor, niby prawdziwa, iest tylko ma-
lowaną y obłudną.

POBOŻNICKA.

Ach! co to za język Świętokradzki, a iabym
życie dała, że to człowiek prawdziwie pobo-
żny, wy go prześladowacie iedynie dla tego,
że wam prawdę mówi, ważęgani postępkii, y
za Boski się uymuie honor.

ZOSIA.

Alboż to uczciwe wizyty, honor Boski inte.

reflują, a on strasznie przeciwko nim powstaie, niech tylko do Jeymości kto przyiedzie, zaraz będzie, ponurym y na krok z pokoju nieustapi, nie może to bydź inaczey koniecznie o Jeymć jest zazdrośny, dla tego, tych wizyt cierpieć niemoże.

POBOZNICKA.

Ach! iakież to złość ludzka! kiedy temu świętobliwemu, temu skromnemu człowiekowi nieprzepuszcza, wszak on zawsze w Bogu rozmyśla, ustawicznie się modli, y z taką żyie wstrzemięźliwością, iakże śmiesz tak niegodziwe, o nim mieć podeyrzenie? rozpusta, rozpusta wasza go obraża, o ktorey iuż wszędzie gadaia.

PODSTOLI.

Komuż nienawiść przepuści! niech gadaia, iak chcą, coż nam to szkodzi; bywam niemal codzieln w tym domu, nic w nim jednak nieprzystoynego ani gorszącego nie widziałem; oprócz Obludnickiego, ktorego cnota bardzo mi podeyrzana, a moc, którą ma naumyśle Szwagra mego, wszytkich zadziwia y gorszy.

POBOZNICKA.

Dawno ia wiem o tym, że y W Pan iego iesteś nieprzyiacielem, tak się to za zwyczaj dzieie, że cnota, od złych y przewrotnych prześladowaną bywa.

ZOSIA.

Zobaczemy przecie skutek tey wielkiej cno-

ty, może ona w krotce z ukrzywdzeniem Panna Fanatycznego wybuchnie ; bo mi się coś zdaje, że jego częste wzdychania, bardziey do serca Jeymości, niżeli do Nieba zmierzają.

POBOZNICKA.

Już też dłużey tey niegodziwey mowy nie zcierpię chybabym niemiała sumnienia, gdybym ieszcze w tym przewrotnym została domu, Przebog! tak Świętego człowieka śmia obmawiać! iakąż czarną potwarz naczotę rzucają! poydę, poydę, y nigdy już w tym przeklętym domu nogą moją niepostanę, któryby się już dawno zapadł, gdyby w nim, ten pobożny człowiek niezostał. (*chce odchodzić.*)

ZOSIA.

Tak to nas W Pani Dobrodzika chcesz porzucić? oddaiemy się tedy iey Świętym modlitwom (*kłania się szaydersko.*)

PODSEDKOWA.

A Mościa Dobrodziko! nigdy na to niepozwole, żebyś się z tąd wyniosła, w niebytności męża mego.

POBOZNICKA.

Ani godziny dłużey tu niechęę zabawić, kłaniam. (*odchodzi, Podśedkowa, Kunegunda y Wincenty ją odprowadzają.*)



SCENA II.
 PODSTOLI, ZOSIA.
 PODSTOLI.

NIEPOYDĘ ja za nią, żebyś ieszcze bary nie oberwał.

ZOSIA.

Dobrze WmPan czynisz, bo ktokolwiek na iey faworyta Obludnickiego gada, iey wielkim iest nieprzyjacielem; zobaczysz WmPan co tu za hałas będzie, kiedy nas przed Synem swoim Panem Fanatyckim oskarży, bo on się tak w nim utopił, że dla miłości iego gotów świat przewrócić. Nazywa go Bratem swoim, Dużą świętą, y tyfiąc razy bardziey go kocha, niż Matkę, Żonę, y Dzieci swoje, myśli iemu swe naykrytżę otwiera, ustawicznie z nim się bawi, y kawałka chleba, bez iego nie zie błogostawieństwa.

PODSTOLI.

Moy Szwagier widzę oszalał.

ZOSIA.

Do pojęcia trudno iak on się w nim zakochał, rozumi że Anioła ma w domu swoim, naymnieyszą iego sprawę ma za cud cnoty, a każde iego słowo ledwie nie więcey iak Ewangelią sobie

bie waży. Podobnież Matka Pańska Pani Po-
bożnicka dałaby się umęczyć za niego, y iak
cudowny obraz go *obaża*, co tego oszuła tak
w pychę wbiło, że wżylłkich za nic nie ma,
y nadto sobie pozwala. Onegdajszego dnia
ważył się Ieymci młodey krzyżyk złoty z szyi
zedrzyć, mówiąc że to iest świętokradztwo, rzecz
świętą na tym nieprzyzwoitym wielzać miey-
scu, gdzie Diabli swoje załadzają siła; nie da-
wno też iednego uczciwego człowieka strasznie
zbełztał, y za to go nazwał hererykiem, że
twierdził, iż w piekle smolą nie szynkuia.

SCENA III.

PODSEDKOWA, WINCENTY,
PODSTOLI, ZOSIA,

PODSEDKOWA.

DOBREGOŚ się Wm Pan domvślił, żeś iey
nie odprowadził. możeby się y Wm Panu co
było dostało; należycie nam uszy za Ośrudni-
ckiego wytarła. Proszę zabaw się Wm Pan tu
trochę, ia tym czalem poydę do siebie y pocze-
kam tam na na męża mego, bo mi powiedział-
no że iuż ze wsi przyiachal. (*odchodzi*)

PODSTOLI.

Mam ia też interes z nim się widzenia, bę-
dę go tedy czekał.

B

WINCENTY.

Chciejże mu Wm Pan także o zamęściu Siostry moiej wspomnieć, radbym w tey mierze myśl iego wiedział; bo mi się zdaje, że Obłudnicki iey postanowieniu jest przeciwny, przeto mocno się obawiam, aby Oycy mego do odmówienia iey Skarbnikiewiczowi nie nakłonił. Wm Panu Dobrodzieiowi nie tajno: że nas dawna przyjaźń y miłość siostry iego, ściśle łączy.

PODSTOLI.

Całym sercem; zechcę ia go wymiarkować, o toż też idzie, bo iego gorliwe wzdychania zdaleką słyhać

SCENA IV.

FANATYCKI, PODSTOLI,
ZOSIA, TREFNICKI,

FANATYCKI

O! Iak się masz Braciszku (*ściśka Podstolego*)
PODSTOLI.

Witam Wm Pana z podróży, y mocno się cieszę, że go zdrowego oglądam; Ale coż Wm Pan u katarata teraz na wsi robisz? miłsze w tym czasie w mieście zabawy.

FANA-

X II X

FANAT:

Tym Swiatownisiom tylko zabawy y rozkoszy Ziemskie są w głowie, ia zaś o chwale Pana Boga myślę; Kościół w Dobrach moich wystawić przedsięwziąłem [*do Zosi*] Coż tu słyszać nowego? cożcie tu podczas niebytności moiej robili? czy zdrowi wszyscy? iak się ma mój kochany Obludnicki?

TREFNICKI.

Otoż się wprzód o niego, niż o żonę pyta.

Z O S I A.

Jeymsć miała ongi frebrę, y straszny bol głowy.

FANAT.

A Pan Obludnicki?

TREFN.

Ten go widzę bardziey interessuie.

PODSTOLI [*na boku*]

Ha! ha! ha! ha!

Z O S I A.

O! Pan Obludnicki zdrow iak ryba, y dobrej jest cery.

FANAT.

Nieboraczek!

Z O S I A.

Ku wieczorowi Jeymsć bardziey ieszcze za-
stabiła, y dla tego nic na wieczrzą nie iadła.

X 12 X

FANAT.

A Pan Obludnicki?

ZOSIA.

On tylko sam iadł przy łożku Jeymościny, y z wielkim nabożeństwem ziadł całego Kapłana, pułmifek zrazow, y ciasta talerz.

FANAT.

Nieboraczek!

PODSTOLI.

Ha, ha, ha, .. iakże go sobie uiał ten ofzuft.

ZOSIA.

Przez całą noc Jeymść miała gorączkę, dla ktorey ani oka zamrużyć nie mogła.

FANAT.

A Pan Obludnicki?

ZOSIA.

Po kolacyi wypiwszy cztery butelki piwa Wilanowskiego, poszedł do swego pokoju, y spał sobie wysmienicie aż do dzieśnatey zrana.

FANAT.

Nieboraczek!

ZOSIA.

Nakoniec radziliśmy Jeymści krew puścić, poczym Jey się bol głowy znacznie umniejszył.

FANAT.

A Pan Obludnicki?

ZOSIA,

Po Kawie ziadłszy pułnisek bigosu hultaj-
skiego z schabem y kielbasą, wypił wina stare-
go butelkę, życząc Jeymsci krwi polepszenia.

FANAT.

Nieboraczek!

ZOSIA.

Wszyscy tedy zdrowi, a zwłaszcza Imię Pan
Obludnicki, oczko prawe Pańskie, ktoremu poy-
dę opowiedzieć trokliwość, którą W. Pan Do-
brodziey małz o niego. [odchodzi]

PODSTOLI.

Ha! ha! ten Filut oczarować go musiał.

FANAT.

Czego się W. Pan śmieiesz?

PODST.

Jakże u Diabła się nie śmiać?

FANAT.

Ach! Mospanie przynajmniej w moiej przy-
tomności, złego Ducha niewspominay; broń
Boże, żeby to Pan Obludnicki usłyszał.

TREFNICKI.

To u niego wielki grzech, wielkie zgorz-
nie, y w głębie się biie, kiedy kt. Diabła wspo-
mni, ale na Dzieci y służących bezstumienia
podszczuwa.

PODST.

Prawdziwie moy Braciszku. nie wiem co o
tym mam sądzić, na śmiech się W. Pan, y na
sztyderstwo dla tego Obludnickiego wydaiesz,

ten zmyślony nabożniczek opętać W. Pana musiał, bo więcej daleko dbasz o niego, niż o żonę y dzieci swoje.

FANAT.

Y W. Pan masz czoło, tak złorzeczyć, o tym pobożnym Człowieku? co? co? on, zmyślony nabożniczek? on?

TREFNICKI.

Hoy! dajże sobie teraz dał, to jest występkiem Świątokradzkim, nigdy mu go nieodpuści.

PODSTOLI.

Ale prawdziwie, bo też tego już nadto, W. Pan go widzę masz za Anioła.

FANAT.

Bo też to Anioł, nie człowiek, Ey Mośpanie gdybyś znał tego światobliwego, tego cnotliwego człowieka, nieśmiałyś tak mówić o nim. Jest to człowiek. .. który - - hoy to jest człowiek! .. ale taki człowiek - - który mi drogę do Nieba pokazuje, w cnotach mnie umacnia, odrywa mnie od Ziemskich marności, y uczy mnie całym Światem pogardzać. . . Y tak już z łaski Pana Boga postąpiłem w tej doskonałości za staraniem jego, żebym na śmierć Brata, Dzieci, Matki, y Zony z wszelką obojętnością patrzył.

TREFNIC.

Jakimże go Barbarzyńcem niehumanicznym obcowanie. Obłudnickiego uczyniło.

PODSTOLI.

A zgadzają się, mój Braciszku takie uczucia z ludzkością? wszak to pierwszym przymiotem y własnością człowieka, być czułym.

FANAT.

Światownisze tak tylko myślą; coż tu na świecie dobrego, same zgorzienia, bo cały Świat z gruntu niecnotliwy.

TREFNICKI.

A Pan Obłudnicki sama cnota, sama poczciwość, o już dłużej tych bałow słuchać niemogę.
[odchodzi]

FANAT.

Gdybyś go W. Pan tak dobrze znał, iak ja, niemógłbyś mu szacunku y przyjaźni swojej odmówić; bo to sama świętobliwość y cnota z oczu mu patrzą. Na każdym odpuszcie bywa, do Kościoła codzień chodzi, na przeciwko mnie zawsze klęknie . . Oczy w Niebo z wielkim nabożeństwem podniesie . . iak z gorliwości westchnie, y w ziemię czołem uderzy, to mnie tak poraży, że rzewnie płakać muszę . . Gdy zaś z Kościoła wychodzę, on mnie uprzedza, y wodą święconą nabożnie mnie kropi; słowem W. Panu mówię, że to jest przykład świętobliwości, nawet podarunkow wśzystkich odemnie przyjmować niechce; gdy mu dam kilka czerwonych złotych, powie mi, że to nazbyt y zaraz te pieniądze swemu człowiekowi dać dla ubogich. Prawdziwie, od tego czasu, gdy go cudem do Domu mego dostałem. Niebo mi oczywiście sprzyja, widzę że o mnie y o Zonę moję wielką ma troskliwość, dla honoru mego, bardzo go Zona moja interesuje, przestrzega mnie zawsze, kiedy kto u niej bywa, z domu mego wśzystkich tych oddala, którzyby Jey się podobać mogli, y tyjąc razy, więcej niż ja

w tym punkcie ma zazdrości, -- nigdybyś W. Pan nieuwierzył, iak delikatne zaś ma sumnienie, najmniejszą bagatelę za grzech sobie poczytuje, y z gorżeniem jest dla niego; onegdajszego dnia za to się bił w pierś, że z gniewem niejakim podczas Modlitwy pochtę zabił, która go ukąsiła . . hoy taki to z niego skrypulat.

PODSTOLI.

Zdaie mi się moy Braciszku, żeś W. Pan w głowę zaszedł, albo że sobie drwisz ze mnie, czy nieznac widocznie że on Ofzust?

FANAT.

Ah! boy się Boga, co gadasz, widzę że nie masz wiary, kiedy taką potwarz na tego pobożnego kładziesz człowieka.

PODSTOLI:

Bodaybym skłamał, ale doznasz W. P. wkrótce skutek iego mniemaney pobożności, bo dochodzę po wszystkich czynnościach iego, że on filut, y że W. Pana fałszywym pobożności pozorem omamił. Niechciey mnie ztąd sądzić rozwiązłym, lub bez wiary, że takie o tym Szarlatanie nabożnym mam zdanie . . Wiem co mówię; y Niebo mym świadkiem, że się z prawdziwey nie szydzę pobożności, gdy utrzymuję, że on jest z liczby tych fałszywych Nabożniczkow, tak, iak ci, co to wiele o swoim prawią męstwie y waleczności, są z liczby fałszywych Junakow; gdyż prawdziwie pobożni podobnych grymałów czynić niezwykli . . Jakże? to tedy W. Pan żadney między pobożnością, y obłudą nieczynisz różności? chcesz ten sam honor czynić Małce, co y twarzy? równie szaco-

szacować pozor iak prawdę, szczerść iak podstęp? nierozeznawać cienia od osoby, y w równym mieć szacunku prawdziwą y fałszywą monetą? naywiększa część część ludzi jest ofobliwego myślenia sposobu, y zawżę od prawdziwey odstępuią natury, bo rozumich w szczipłych będąc obarczony granicach, rzeczy nigdy w przyzwoitym niebiorą stopniu; W. Pan tego ieśteś gatunku, próżny blask za istną bierzysz prawdę.

FANATYCKI.

Hoy! tak tak! W. Pan tylko sam wszystkie poiadłeś rozumy, wszyscy uczeni za nic, W. Pan tylko sam mędrzec wielki, Filozof ofobliwy, a wszyscy inni względem W. Pana są prostakami

PODSTOLI.

Niechę ja wcale za Mędrca uchodzić, ale tyle przecie przyrodzonego mam oświecenia, że fałsz od prawdy poznać mogę. Wiem że niemaż nic w świecie szacowniejszego iak prawdziwa pobożność y niezmyślona gorliwość; przeciwnym zaś sposobem nic bardziej w nienawiści y pogardzie u ludzi być nie powinno, nad obłudną świętobliwość, którą owi udują Szarlatani, co pod Świętofzkw postawą, straszni y tajemni są łotrowie, z samych są złożeni nierządności, a powierzchowie tylko cnoty udują pozory. Ci Obłudnicy naywiększe świętokradztwa pobożnym grymasem ukryć umieią; owi to Nabożnisi sztukę zmyślenia doskonale posiaduią. Pobożność jest u nich kunsztem, Modlitwa handlem, a zmyślona cnota ich monetą, którą sobie kredyt, sławę, honor, y

fortunę kupnią. Takowi Ofzuści przez same Bożkowanie farbowane, co niby prostą drogą do Nieba wiodącą, do naywyższej trafiają powagi. W rozkoszy żyją, a nayniewinnieysze ganią rozrywki, chodzą do Kościoła dla oka, a nayszkaradnieysze zbrodnie, świętobliwie, bo pod pozorem gorliwości popełniają; ci nayzłośliwsi bez wiary, cnoty y obyczajów ludzie, interes swój z Bożkim ściśle łączyć umieją. Patrz W. Pan na tyle innych prawdziwie Cnotliwych, ich cnota nie jest dziwaczna, świętobliwość nie dzika, pobożność ich nikomu wstretu, ani odraży niesprawnie, przebaczaia ułomnościom ludzkim, nie są ostrzy w napominaniu, nikogo nie potępiają, podstępów, ani intryg Machiawelskich na zgubienie często przyjaciela swego nieczynią, nigdy osoby, ale tylko występki nienawidzą, y interes Nieba więcej niż swój własny ważą. O! toż to ludzie takiego gatunku są prawdziwie pobożni, prawdziwie cnotliwi, y ich przykłady godne naśladowania; ale W. Pana nayukochańszy faworyt, nie jest z tej liczby. Chwalisz mow Braciszku jego gorliwość, ale to jest tylko blask fałszywy, którym cię ten zdrayca omamił.

FANATY.

Moy Wielce Miści Panie Szwagrze, czy już skończyłeś swoje perorę?

PODSTOLI.

Skończyłem.

FANAT.

[*Kłaniając się*] Nayniższy sługa Wac Pana chce odchodzić.

PODSTOLI.

Posłuchajże mnie jeszcze Panie Bracie, mam z W. Panem oczym inszym pogadać. Wiesz W. Pan żeś Skarbnikiewiczowi Córkę swoją obiecał!

FANATYCKI.

Tak jest.

PODST.

Jużeś W. Pan dzień wesela nawet był naznaczył.

FANAT.

Prawda.

PODST.

Czemuż tedy skutku przyrzeczenia W. Pana niewidzę?

FANAT.

Niewiem.

PODST.

Czy W. Pan infze masz przedsięwzięcie?

FANAT.

Może to bydź.

PODST.

W. Pan mu więc słowa dotrzymać niechcesz.

FANAT.

Ja tego niemówię.

PODST.

Zdaie mi się, że żadney niemasz przeszkody do wykonania obietnicy swojej.

FANAT.

Jak się zdarzy.

PODSTOLI.

Ale czemuż mi W. Pan prosto nieodpowiadał? nacoż te wybiegi? te słowa obojętne? niech wiem myśli W. Pana, bo mnie w tym intereſſie Skarbnikiewicz Miłośnicki przyſłał do W. Pana.

FANAT.

Bogu za to dzięki czynię.

PODSTOLI.

Coż mu tedy powiem?

FANAT.

Co ſię pódoba.

PODST.

Ale niech przecie wiem zamyſły W. Pana, coż W. Pan chceſz uczynić.

FANAT.

To, co Bog zechce.

PODST.

Ale mowmy po ludzku; Skarbnikiewicz ma ſłowo W. Pana, powiedz mi, czy mu go do-trzymasz, czy nie?

FANAT.

Kłaniam W. M. Panu.

PODST.

Jakiż to Maruda! iakiż to dziwak nabożny, źle tu widzę koło twojej miłości Panie Skarbnikowiczu! muſzę poyść przeſtrzec tego nieboraka [odchodzi]



A K T II.

S C E N A I.

FANATYCKI, KUNEGUNDA.

FANATYCKI.

Słuchay ieno moja Corko!

KUNEG.

Coż takiego moy Oycze!

FANAT. [*oglądając się po Teatrze.*]
Przybliź się tu do mnie, mam ci coś powie-
dzieć?

KUNEGUNDA.

Czegoż to W. Pan Dobrodziey szukasz.

FANAT.

Patrzę ieżeli kogo niemaśz, żeby nas niepod-
suchał. Moja Konusiu uważałem w tobie zawsze
łagodność charakteru, y pobożność, co we mnie
przywiązanie ku tobie pomnożyło.

KUNEG.

Ta uprzejmość Oycowśka, wdzięczność mo-
ią ku W. Panu Dobrodzieiowi powiększyć po-
winna.

FANAT.

Niewątpię o tym moja Corko, y podchlebiam
sobie, że się będziesz starała, uczynić się godną
afektu mego.

KUNEG.

To będzie iedynym staraniem moim.

FANAT.

Dobrze! tak się należy. Powiedzże mi, coż też myślisz o Panu Obludnickim?

KUNEG.

Co? ia?

FANAT.

Tak jest - - uważaj dobrze, co mi na to odpowiesz.

KUNEG.

Ach! Mści Dobrodzieiu, ia wszystko powiem co tylko chcesz, żebym powiedziała.

[ZOSIA *wchodzi po cichu y podsluchuje ich*]

FANAT.

Rostropnie mówisz - - Powiedz mi tedy moja Corko, że Pan Obludnicki wielkie ma przymioty, że jest nacyotliwzszy y nayspobożniejszy z ludzi, y żebyś się szczęśliwą śadziła, gdyby za moim wyborem został twym mężem, ... he!

KUNEG. [*cofając się z podziwienia*] He!

FANAT.

Coż to?

KUNEG.

Co W. Pan Dobrodziey?

FANAT.

Jakże tedy?

KUNEG.

Czym nierozumiała.

FANAT.

Jak! iak?

KUNEG.

Co mi W. Pan Dobr. każesz mówić? kto mi
jest najmilszy? y kogo mi dasz za Męża?

FANAT.

Pana Obludnickiego.

KUNEG.

Upewniam W. Pana Dobr. że mi się o tym
nieśni, na coż ja mam tak brzydko skłamać?
chyba W. Mć Pan Dobr: żartujesz.

FANAT.

Owszem chcę żeby to Prawdą było, wiedz
o tym, żem się z nim już umowił.

KUNEG.

Jak to Mści Dobr: mam że temu. . . .

FANAT.

Tak jest moja Corko, umyśliłem Pana Oblu-
dnickiego przyiąć do moiej Familii, będzie two-
im Mężem, już ma słowo odemnie . . . [*po-
srzeże raptem Zosię.*]

S C E N A II.

FANATYCKI, KUNEGUNDA, ZOSIA.

FANATYCKI.

A Waś tu poco, co to za ciekawość niepo-
trzebna, co za śmiałość mnie podслуchiwać!

ZOSIA.

Niewiem prawdziwie jaki jest fundament tych wieści, y coby mogło dać przyczynę, że wzię-
dzie głośno o tym dzikim gadają postanowie-
niu; a ia to mam za baykę.

FANAT.

A! coż tu w tym do w ary niepodobnego.

ZOSIA.

O! tak dalece że W. Panu samemu w tey
mierze, wierzyć niepotrzeba.

FANAT.

Potrafię ia w to że wszyscy uwierzą.

ZOSIA.

Tak, tak, chyba W. Pan z nas drwisz sobie.

FANAT.

Wcale nie, y wkrótce tey prawdy skutek zo-
baczycie.

ZOSIA.

Bayki to, Bayki.

FANAT.

Prawdziwie moja Corko, co ci mówię, nie
jest żartem.

ZOSIA.

O niewierz W. Panna, Jegomość tylko chce
z W. Panny zażartować.

FANATYCKI [żwawo]

Ja ci powiadam że. . .

ZOSIA

ZOSIA.

Zartuy W. Pan zdrow, upewniam, że w tym punkcie nikt W. Panu niewierzy, coż byto u Diabła. . . .

FANAT.

Co! y Bieśa wspominasz? chcesz mnie ieszcze do większego gniewu pobudzić? . . . mówię ci, że ja tak chcę, y tak. . . .

ZOSIA.

O kiedy tak, wierzę ja, wierzę. Piękne to bardzo zamysły, któżby się spodział, żebyś W. M. Pan Dobr. który postawę roztropnego masz człowieka, podobne szaleństwo chciał uczynić.

FANAT.

Śluchay ieno moja Panienko świegotliwa, bardzo widzę wiele sobie pozwalasz, wiedz o tym moja kochana, że tego niecierpię.

ZOSIA.

O! Mści Dobrodzieiu bez gniewu! proszę mnie posłuchać. Niewiem coby W. M. Panu do głowy przyszło, chcey tylko zważyć, jeżeli Pan Obludnicki . . . jest przybraną dla Córki W. Pana partyą? także to W. Pan Dobr. Ja chcę upodlić, wybierając iey za męża, tego mizera-ka, tego hołysza . . . który. - -

FANAT.

Waćci milczeć należy, rozumiesz Waść? ja tak chcę, y tak być musi.

ZOSIA.

Ale dla Boga, ani on Fortuny, ani honoru nie ma, wszak to. . . .

FANAT.

Jego cnoty y pobożność u wszystkich mu szacunek y honor czynić powinny, wszak on dobrowolnie w takim zostaie stanie, ponieważ przez przywiązanie do tobr Niebieskich, swoje własne sobie wydrzeć pozwolił; ale za moją pomocą weydzie znou w swe dobra, które dla interesu Boskiego w przeszłych, rozruchach utracił. Upewniam że dobrej Familii, znać to zaraz.

ZOSIA.

Tak, on się tym chlępi, ale ta chluba z pokorą chrześciańską wcale się niezgadza; prawdziwie pobożni, z urodzenia swego się nie wynoszą, y żadney czynności na pochwałę swoją nieprzytaczają, a on się szczyci że dla Boga wiele w pewnym północnym Kraiu cierpił; gdzie się na koniec tak świątobliwością swoją wślawił, że Towarzysze Jego w powinnościach go zastępując przy ciepłym go zostawiali piecu, żeby się gorąco za nich modlił.

FANAT.

Zapewne że to Człowiek wcale święty, wszak on na Rusi pioruny w zimie sprowadzał, y morowe powietrze uśmierzał.

ZOSIA.

Y W. Pan Dobrodziey tym baykom wierzyysz?

FANAT.

Wszystko wierzę, bom dobry, y prawowier-ny katolik.

ZOSIA.

Zdaie mi się, że pochwały, które sobie Pan Obludnicki sam daie, nie są artykułem wiary.

FANAT.

Jakaż to bezbożna kobieta? iakiż to język iaszczurcy, zawsze musi swą dziką wyiachać uwagą.

ZOSIA.

Więc tedy koniecznie W. Pana Dobrodzieia ma być Zięciem, nieuważając na to, że Córke swoją nieszczęśliwą uczynił. On ponury y chodzi iak sęp, a Panna Kunegunda wesół, on zawsze łaje, a Córka W. Pana łubi pokoy, coż tedy z tego wyniknie związku nieswornego, jeżeli nie kłotnie y niesnaski, bo te dwa różne humory, nigdy się z sobą niezgodzą, gdyż on dla swojej żony będzie okrutnym, dzikim y nieznosnym, a zatym . . . lecz już nieśmiem więcej o tym mówić . . . ale W. Pan Dobrodziey wieś, że wierność Małżeńska, prędko się zachwieie, kiedy mąż dziwak, a żona rażna, to nieochybnie kornuictwem pachnie.

FANAT.

Oto lepiej milcz moja kochana, y Corki moiey niegorz tak wólnemi wyrazami . . . do Corki nie słuchay tey lekkomyślney kobiety, ia twoim Oycem, lepiej wiem, co dla ciebie dobrego. Wiesz tedy wolę moją, trzeba ją uskutecznić; dałem wprowadzić słowo Panu Skarbnikiewiczowi Miłośnickiemu, ale mnie doszły wieści, że on w karty grywa, a podobno y Libertyn, bo go w Kościele niewiduję.

ZOSIA.

Czy W. Pan Dobrodziey chcesz, żeby koniecznie w Kościele był o tej godzinie, o ktorey ci bywają, co tylko dla oka tam chodzą.

D i j

FANAT.

Ale ja nie do Waści gadam (*do Corki*) To małżeństwo będzie bardzo szczęśliwe, on ściągnie na ciebie błogosławieństwo Nieba, na niczym ci zbywać nie będzie, kochając się iak dzieci niewinne, albo iak para Synogarliczek. nigdy się tobie sprzeciwić nie będzie. y wszystko z niego zrobisz, co tylko będziesz chciała.

ZOSIA.

Hoy tak robi z niego dutka, ręczę za to, z oczu mu to patrzy.

FANAT.

Co to za mowa?

ZOSIA.

Ja mówię Mści Dobr: że iego czoło na różne przeznaczone przypadki; y że w krotce . . .

FANAT.

Proszę cię nieprzeryway że mi, co to za język niewstrzymały! zawsze się musi wrazić.

ZOSIA.

Jedynie to dla interesu W. Pana Dobr: czy-
nię (*przerywa mu zawsze, gdy się obraca chcąc
mówić z Corką*)

FANAT.

Nie trzeba się w ten interes wdawać nikomu.

ZOSIA.

Chybabym W. Pana Dobrodzieia wcale nie kochała.

FANAT. (*żywo.*)

Ja niechcę, żeby mnie kochano.

ZOSIA.

A ja W. Dobr: mimo woli iego kochać będę.

FANAT.

Ach co to! . .

ZOSIA.

Honor W. Pana Dobr: nad to mi jest miły, y nigdy tego niecierpię, żeby W. Pana palcem wszędzie skazywano.

FANAT.

Jakże! nie będziesz ty milczała?

ZOSIA.

Chybabym sumienia nie miała, gdybym W. Panu Dobr: tego haniebnego Małżeństwa nie odradzała.

FANAT.

Nie będziesz ty milczała iaszczurko iadowita?

ZOSIA.

Ach! dla Boga W. Pan Dobr: nabożniczek, a tak się gniewasz.

FANAT.

Tak jest, słusznie się gniewam, na niewstrzymaną świegotliwość twoją, będziesz ty milczała, albo nie?

ZOSIA.

No! no! dobrze, dobrze już milczę, ale gdybys W. Pan Dobrodziey wiedział, co ja myślę!

FANAT.

Myśl sobie co chcesz, ale nie waż mi się wtrącać do tego interesu . . bo zobaczysz, że tu co

oberwiesz . . . [obrocniwszy się do Corki.] Ja rozumnie wszystkie rzeczy biorę, wiem że. . .

ZOSIA.

Ledwie nie szaleję, że mówić nie mogę [zawraz zamilknie, gdy Fanatycki na nią spojrzy]

FANAT.

Pan Obludnicki chociaż nie jest gązkiem takim, jakich wy kobiety światowe lubicie, jest jednak z niego człowiek przystöyny . . . można . . .

ZOSIA.

Oy! tak przystöyny z niego koczkon!

FANAT.

Lubo jego przymioty serca twego jeszcze nie-
nięły, jednak pewien jestem, że go potym ser-
decznie kochać będziesz, gdy go lepiej poznasz,
zobaczysz że cię wcale na inżną przerobi.

ZOSIA,

O! wierzę ja temu! jakież to dzikie uwagi!
. . . hoy gdybym ja była na miejscu Pauny,
wnetbym pokazała, co to jest powolnie iść w
Małżeństwo; ieszcze w wilią ślubu zemściła-
bym się na czole Pana Obludnickiego.

FANAT. [złożywszy ręce patrzy Zosi
w oczy.]

Śluchaj ieno moja kochana! pokiż tego bę-
dzie? nie zcierpię ci dłużej.

ZOSIA.

Coż W. Pan Dobr: chcesz odemnie, wszak ja
do W. Pana nie gadam.

X 3¹ X

FANAT.

Tylko co robisz?

Z O S I A.

Sama do siebie gadam.

FANAT:

Jak mi Bog miły, pięścią iey głębatkam,
[*stanie iakoby iey chciał dać policzek, a za każdym słowem które wymowa do Córki ogląda się na Zosię w tyle stojącą*] Moia Corko powinnaś mi w tey mierze być posłuszną . . wierz mi . . że Małżonek . . . któregom ci wybrał . . .
[*do Zosi*] czemuż do siebie nie gadasz?

ZOSIA.

Nie mam sobie nic do mówienia.

FANAT.

Aby słowko jeszcze.

ZOSIA.

Jak sobie tam chce, już się nie wdaię do tego.

FANAT.

Jużbym ią też był trząsnął.

ZOSIA.

Jednak mi się ten wybor wcale nie podoba.

FANAT.

Czy jeszcze? na końcu moia Corko . .

ZOSIA.

Ot stoi iak Figurka, y słowa mu nie odpowie.

FANAT.

Trzeba być posłuszną, y woli moicy zadosyć uczynić.

ZOSIA [*stanąwszy za niemi.*

Jabym drwiła z tego, y nigdybym za takiego hołysza nie poszła, [*ucieka.*

FANAT. [*chce ją uderzyć, ale ją chybi y za nią pobieży.*

Moja Corko, ta dziewczyna jest gorzsa od Jędzy piekielney, ia iey dłużej w domu moim cierpieć niechcę. Co ona mi krwi swoją święgotliwością napsuła . . Zważ tedy moja Kunu-
gu, com ci przełożył, y wierz, że iedynie twego szukam szczęścia, łącząc cię z cnotliwym Obludnickim. [*odchodzi*]

S C E N A III.

ZOSIA KUNEGUNDA.

ZOSIA.

CZY W. Panna zaniemiała, czy co u Diabła! mam że ia W. Pannę w tym zastępować interesie? ieżeli też to słyżana rzecz, na tak dziekie milczeć propozycye,

KUNEGUNDA.

Coż mam przeciwko tak samowładnemu czynić Oycu?

ZOSIA,

To, co się w podobnym razie czynić powinno.

KUNEG-

KUNEG.

Coż takiego?

ZOSIA.

Na przykład mogłaś W. Panna Jegomości powiedzieć, że serce dla siebie tylko kocha, że W. Panna nie dla Ojca, ale dla siebie za męża idziesz, a zatem że tylko takiego dla siebie powinnaś obierać Mążonka, który się W. Pannie podoba; a jeżeli się Jegomość tak bardzo w Panu Obludnickim zakochał, niechże się tedy z nim żeni.

KUNEG.

Łatwo ci tak mówić! ale gdybyś na moim była miejscu, pewniebyś się nie ważyła Ojcu, ani słowa odpowiedzieć.

ZOSIA.

Ale pomówmy ieno z sobą otwarcie; Pan Skarbnikiewicz Miłośnicki starał się o W. Pannę, y statecznie ją kocha, chcemyż mi też W. Panna szczerze powiedzieć, czy go kochaś wzajemnie?

KUNEG.

Jakżeś niesprawiedliwa moja Zofiu; czy możesz mi takie czynić pytanie? wszak znasz dawno uczucia serca moiego, wiesz iak żywa jest uprzejmość, którą mam ku niemu.

ZOSIA.

Miałam to dotąd za uprzedzenie trefunkowe, ale teraz widzę, że serce W. Panny, przez iey usta mowi.

KUNEG.

Krzywdę byś mi czyniła moja Zofiu, gdybyś

o mym szczerym ku Skarbnikiewiczowi wątpi-
ła przywiązaniu.

ZOSIA.

Więc go W. Panna kochasz?

KUNEG.

Ach . . y serdecznie.

ZOSIA.

Zdaie mi się że y on W. Pannę kocha po-
dobnież.

KUNEG.

Tak mniemam.

ZOSIA.

Y oboje W. Państwo pragniecie złączyć się
z sobą?

KUNEG.

Pewnie że! . .

ZOSIA.

Coż tedy W. Panna sądzisz, o tym nowym
związku . . to ieś z Panem Obludnickim.

KUNEG.

Jeżli mnie do tego przymuszać będą, śmierć
sobie zadam z rozpacy.

ZOSIA.

A . . to głównie! prawdziwie to będzie nay-
skuteczniejszy środek, do uniknienia niebezpie-
śliwego losu swego. A niemogłabym ia też
W. Pannie dopomodz do wykonania tego przed-
sięwzięcia? na taką mowę śmiać mi się chce.

KUNEG.

Jakimże to sposobem śmiesz do mnie mówić? nie masz widzę politowania nad nieszczęściem ludzkim.

ZOSIA.

Bo też W. Panna wcale niedbaśz o siebie; kiedy potrzeba, gęby nieotworzyśz, a teraz rozpaczasz.

KUNEG.

Ale coż ja mam czynić, kiedy ja moiej biciaźliwości przekonać nie mogę.

ZOSIA.

Miłość W. Pannę odważną czynić powinna; oświadczyć się Oycu potrzeba, że Obludnickiego niechcesz, y że iej serce Pan Skarbnikiewicz ująć potrafił.

KUNEG.

Ach! czy mogeż się tak śmiało stawić, tak surowemu Oycu.

ZOSIA.

W. Panna widzę chcesz, żeby kto inny za nią gadał,

KUNEG.

Czemuż Pan Skarbnikiewicz nie . . .

ZOSIA.

Do W. Panny to samey należy; kochanek iej tyle na umyśle Oycy W. Panny nie prze-może, dosyć z iego strony, że W. Pannę kocha fstatecznie.

KUNEG.

Ale czy to płci moiej przystoi, żebym się
E ij

przed wszystkiemi z tym oświadczyła, co w
mym sercu czuję.

ZOSIA.

Nie trzeba, nie, poco? o! już widzę, że W.
Panna chcesz być Panią Obłudnicką. . . Do-
brze W. Panna czynisz, to partya wcale przy-
brana, nie masz nic przeciwko temu . . . Pan
Obłudnicki jest to człowiek zacny . . , co to za
szczęście dla W. Panny będzie, iego być żoną,
wszyscy go poważają, dobrego urodzenia, chło-
piec ładny, ach! iak że W. Panna z Mężem ta-
kim szczęśliwą będziesz!

KUNEG.

O! moy Boże!

ZOSIA.

Jakież to dla W. Panny będzie ukontentowa-
nie, gdy żoną tak grzecznego zostaniesz czło-
wieka.

KUNEG.

Ach! przestań że mnie prześladować moia
Zofiu, masz że sumnienie naśmiewać się z tro-
skliwości moiej? lepiej mi oto poradź, iak te-
mu zamęściu przeszkodzić . . wszystkim już
czynić gotowa.

ZOSIA.

Nie, nie, Córka powinna być Oycu posłu-
żna, chociaż by iey Niedzwiedzia dawał za
Męża.

KUNEG.

Ach! zabijaś mnie twemi niewczesnemi żar-
tami. . . Radź mi co mam począć, ab y tę burzę
odwrócić odemnie.

ZOSIA.

Nayniższa sługa W. Panny.

KUNEG.

Ach! zmiłuy się moja Zosiu kochana.

ZOSIA.

Zadney się W. Panna odetmnie nie spodzie-
way rady, pocóż W. Panna przed Jegomością
stała iak niema statua? cierp teraz, cierp. . .

KUNEG.

Moia Zosieńku naymiłsza;

ZOSIA.

Nie, nie,

KUNEG.

Poydę, powiem, . . choć bym . . .

ZOSIA.

Gdzie zaś, wszak Pan Obludnicki już iest O-
blubieńcem W. Panny.

KUNEG.

Toć mnie znaśz z dzieciństwa mego, wszyft-
kiego ci się zwierzam, uczyniże moja Zosiu!

ZOSIA.

Nic z tego! W. Panna dali Bog Panią Oblu-
dnicką będzieszz.

KUNEG. [tonem rozpaczającym]

Dobrze, więc . . ponieważ cię moy los okro-
pny zmiękczyć nie może, niech tedy łupem zo-
stałą rozpaczy, ta naypewniejszy niebezpie-
czeństwa moiey będzie lekarstwem [odchodzi
prędko]

ZOSIA. [*chwytając*]

Hey! hey! Mościa Dobrodziko, wróć się W.
Panna, wróć; muszę się jednak nad W, Panną
zlitować.

KUNEG.

Bądź pewna, że sobie śmierć zadam nieochy-
bnie, jeżeli mnie Oyciec gwałtem na to okrutne
wyda męczeństwo.

ZOSIA.

Niefrasny się W. Panna, alboż jaki znawdzie-
my sposób zapobieżenia temu .. ale otoż legnąć
Pan Skarbnikiewicz Lubownik W. Panny.

S C E N A IV.

SKARBNIKIEWICZ, KUNEGUNDA

ZOSIA.

SKARBNIKIEWICZ.

Piękney się bardzo dowiedziałem nowiny;
przyśzedłem tu unyślnie, żebym się o niej upe-
wnił.

KUNEGUNDA.

Coż to za nowina?

SKARBNI.

Ze W. Panna maż poyść za Obłudnickiego.

KUNEG.

To pewna, że te są zamyśły Oyca mego.

SKAKB.

Co Oyciec W. Panny Dobrodziki?

KUNEG.

Dopiero mi myśl swoją oświadczył.

SKARB.

Jakże? czy to doprawdy?

KUNEG..

Tak jest, koniecznie chce, żeby to małżeństwo przyszło do skutku.

SKARB.

A iakaż też jest myśl W. Panny Dobr: w tey mierze?

KUNEG. [*zastanawiając się trochę.*]

Ja niewiem.

SKARB.

A to przedziwna odpowiedź . . nie wiesz W. Panna Dobrodzika?

KUNEG.

Nie!

SKARB.

Nie?

KUNEG.

Jakże mi W. Pan radzisz?

SKARB.

Ja radzę W. Pannie Dobr: . . pójść za tego Jegomości.

KUNEG.

Tak mi W. Pan radzisz?

SKARB.

Tak.

KUNEG.

Z-doprawdy W. Pan mowisz?

SKARB.

Bez wątpienia . . ten wybor jest wysmieni-
tym, trzymać go się należy.

KUNEG.

Bardzo dobrze . . przyjmuję tę radę W. Pana.

SKARB.

Zdaie mi się że nie wiele będzie kosztowało
sercu W. Panny, tę radę wykonać.

KUNEG.

Tyle, ile W. Panu, mnie ią daiąc.

SKARB.

Jam ią dał, dla przypodobania się W. Pannie
Dobr.

KUNEG.

A ią ią wykonam, dla ukontentowania W. Pana.

ZOSIA.

Ciekawam, co to z tego wyniknie.

SKARB.

Poznałem się tedy na sercu W. Panny, żeś
mnie oszukiwała, kiedyś mi nayżywfze. . . .

KUNEG.

Proszę już o tym nie mówić . . W. Pan mi
serio radziłeś iść za tego, którego mi Oyciec
przeznacza za męża. . . Ja się też oświadczam,

że

że tak uczynię. ponieważ mi W. Pan tak zba-
wienną dałeś radę. . .

SKARB.

Nie składay się W. Panna radą moją, iużes
dawniey była tego przedsięwzięcia, bierzesz to
tylko za pretext, na zaślonę wiarołomstwa
swego.

KUNEG.

Prawda, tak, tak, dobrze W. Pan mówił.

SKARB.

Zapewne . . . bo serce W. Panny nigdy ku
mnie nie czuło przychylności.

KUNEG.

Wolno W. Panu sądzić iak się podoba.

SKARB.

Pewnie że mi wolno; bo słuszną mam do
tego przyczynę . . . ale wiedz W. Panna o
tym, że miłość moja tak tkliwie obrażona, po-
trafi iey poprzedzić życzenia . . . wiem iuż,
gdzie serce y rękę moją mam obrocić.

KUNEG.

O! niewątpię o tym . . . przymioty W. M.
Pana wszędzie sobie ziednać potrafią, . .

SKARB.

Nie wspominay W. Panna przymiotow moich,
bardzo ich mam mało, o czym mnie odmiana W.
Panny aż nadto przeświadcza, ale śmiem sobie
podchlebiać, że się gdzie indziey lepiej na mnie
poznają, y zgubę serca W. Panny sownie mi
nadgrodzą.

KUNEG.

O! niewielka to dla W. Pana zguba! łatwo ją
sobie z głowy wybić potrafisz.

SKARB.

Upewniam że się oto ułilnie starać będę, bo
to interesuje mój honor, y nieprzepuszczoną
bym popełnił podłość, gdybym dłużey miłość
ku tey zachował osobie, która tak prędko serce
swoie odmienić mogła.

KUNEG.

Prawdziwie . . wielkie W. Pan masz zdania.

SKARB.

Jestem pewien, że u każdego znajdą po-
twierdzenie; pewnie W. Panna chcesz, żebym
zawżę w iey chodził więzach, y z obojętno-
ścią w innych ją widział rękę? czy możesz to
po mnie wyciągać, żebym gdzie indziej nie o-
brocił tego serca, którym tak otwarcie pogar-
dzaś.

KUNEG.

Y owszem tego sobie życzę, y radabym była
żeby się to już dawniey, stało.

SKARB.

Co? radabyś była?

KUNEG.

Tak jest.

SKARB.

Ach! już też tey pogardy znieść nie mogę,
poydę w tym momencie iey chęciom za-
dosyć uczynić [czyni kilka kroków do wyjścia,
y znów się wraca.]

KUNEG

Bardzo dobrze.

SKARB.

Pamiętaj W. Panna przynajmniej, że sama tylko jesteś przyczyną, że się na to ostatecznie odważam przedsięwziąć.

KUNEG.

Dobrze, dobrze.

SKARB.

Y że jedynie za ciebie przykładem te przed siebie biorę zamyśli.

KUNEG.

Za moim przykładem? . . niech y tak będzie.

SKARB.

Ach! kiedy tak . . dogodzę ci natych miast ciebie życzeniom.

KUNEG.

Tym lepiej.

SKARB.

Ostatek raz mnie W. Panna widzisz . . już mnie nigdy więcej niezobaczysz.

KUNEG.

Nieumrę ci od żalu, ani nawet sobie żałoby po W. Panu nieprawię.

SKARB.

Hę . . [odchodzi y wraca się od drzwi]

KUNEG.

Coż?

F ij

SKARB.

Nie wołasz mnie W. Panna?

KUNEG.

Ja zaś? chyba się W. Panu tak przywidziało.

SKARB.

Więc tedy poydę na zawfze, upadam do no-
żek moiey Pani [*wychodzi po matuy ogląda się*]

KUNEG.

Uniżona fluga W. Pana.

ZOSIA.

A pokiż te spory trwać będą? ci amanci czę-
sto, widzę, waryacyą cierpią, sami nie wiedzą
co plotą [*bieżąc za Skarbnikiewiczem*] Hey
Mos Panie Skarbnikiewiczu wróć się W. M. Pan
[*bierze go za rękę.*]

SKARB. [*niby niechce.*]

Czegoż ty chcesz moja Zosiu?

ZOSIA.

Podź ieno tu W. Pan.

SKARB.

Nie, nie, nieciągnij mnie darmo, niech to u-
czynię, co ona pragnie.

ZOSIA.

Zatrzymaj się W. Pan.

SKARB.

To bydź nie może, koniecznie poyść muszę.

ZOSIA.

Ey zostań się W. Pan.

KUNEG.

Widzę że mu przytomność moja jest nieznośna, lepiej więc uczynię, gdy mu ztąd ustąpię,
[*odchodzi*]

ZOSIA. [*porzuca Skarbnikiewicza y zabiega Kunegundzie*]

Coż to znowu? a W. Panna dokąd?

KUNEG.

Y! puść mnie. . . .

ZOSIA.

O! nie . . trzeba się wrocic.

KUNEG.

Nie, nie, [moja Zofiu, proszę nie zatrzymuj
mię prożno.

SKARB. [*na boku*]

Widzę że mnie już cierpieć nie może . . .
z oczu iey poyść muszę, [*odchodzi*]

ZOSIA [*bieżąc znowu za Skarbnikiewiczem*]

Jeszcze W. Pan dziwaczysz? podobno Wac
Państwo z sobą w zaiączka gracie . . porzuć-
cie proszę te bałamućtwo, a wrucicie się tu o-
boie [*bierze oboie za ręce y prowadzi ich na brzeg
Teatru.*]

SKARB.

Ale coż ty chcesz czynić?

KUNEG.

Na coż to? coż ty przez to zamysłasz?

ZOSIA.

Oto się chcę nad W. Państwem zmiłować y pogodzić ich znówu; bo dali Bog sami swego dziwaństwa nieznacie.

SKARB.

Alboż to ty nie slyfzała, z iaką pogardą do mnie mówiła.

ZOSIA.

Ale iakież W. Panna u diabła chimery stroisz,

KUNEG.

Czyś nie widziała, iak sobie ze mną postępował?

ZOSIA.

Oboie W. Państwo trochę warwacyi cierpicie . . . [*do Skarbnikiewicza*] Upewniam, że Jeymsć nie ma innego zamiaru, iak tylko W. Panu na zawsze bydź stateczną [*do Kunegundy*] Jegomść nic hardziej nie żąda, iak bydź mężem W. Panny . . ręczę za to.

KUNEG.

A na coż mi W. Pan taką dawał radę?

SKARB.

A na coż W. Panna w tey mierze rady ode mnie zasięgała?

ZOSIA.

Otoście W. Państwo oboie iak dzieci
daycie sobie ręce . . [*do Skarbnikowicza*] W.
Pan wprzód.

SKARB. [*dając rękę Zosi.*]

Na coż ci moja ręka?

ZOSIA. [do Kunegundy]

Day też ieno W. Panna swoją piękną rączkę.

KUNEGUNDA.

Y coż z tego będzie?

ZOSIA.

No ieno . . prędey . . pogodźcie mi się zaraz, dałabym szyję swoją, że się oboje martwicie, żeście się pogniwali; bo się daleko bardziey kochacie, niżeliście o tym wiedzieli [Zosia gdy to mówi, stoi za niemi trzymając ich za ręce, potym ustępuje na bok]

SKARB. [Niepatrząc nie iaki czas na Kunegundę]

Niechciey W. Panna sobie dłużey gwałtu czynić, a weyjrzey na mnie bez gniewu.

ZOSIA.

Prawdziwie ci Lubownicy, tak sobie czasem postępują, iak by nie w serce, ale w głowę postrzeleni byli.

SKARB.

A coż? niemam że ia przyczyny żalenia się na W. Pannę? . . co za złość? . . takie mi mówić rzeczy, ktore mnie nieznosnie martwiły.

KUNEG.

Co W. Pan mi ieszcze śmiesz czynić zarzuty, pokazawszy mi się takim niewdzięcznikiem?

ZOSIA.

No! no! dosyć tego, potym sobie wyrzucaycie, a teraz myślmy, iak ułożyć Oyca W. Panny obalić zamysły.

KUNEG.

Rostrośnie mówisz moja Zosiu, ale co w tey mierze czynić?

ZOSIA.

Różnych wybiegów użyć nam potrzeba, na-
przed będziesz W. Panna udawała, że niby na
to postanowienie zezwalaśz, żeby tym sposo-
bem iak naydlużey wesele zwlec można, gdy
zaś W. Pannę Jegomość gwałtownie przycisnie,
trzeba iaką nagłą zmyśleć chorobę, naprzykład
śpasmy, albo modne wapory; będziesz mnie
biła, krzyczała, pobieżyśz do gotowalni, y zwier-
ciadło o ziemię rzuciśz, lub inne temu podo-
bne głupstwa uczyniśz, wszak płci naszey na
zmyślności niezbywa. a nadewszystko niewi-
duycie się W. Państwo tak często z sobą [*do*
Skarbnikowicza] Idź W. Pan teraz y użyj przy-
iaciół swoich, żeby mu w tym intereśsie dapo-
magali [*do Kunegundy*] My zaś poydziemy u-
wiadomić o zamysłach naszych Braciszka W.
Panny, żeby nam także dopomagał.

SKARB.

Lubo to ułożenie dobrym mi się bydz̃ zdaie,
i jednak naywiękztą nadzieię w W. Pannie po-
kładam.

KUNEG.

Nie mogę za Oycę mego ręczyć, ale ręczę,
że nie będę ni czyją Zoną tylko W. Pana.

SKARB. [*żywo iey rękę całuje*]

Ach ! iakiem szczęśliwy, y wszystko na świe-
cie. . . .

ZOSIA.

ZOSIA.

Ach! bodayby ci Amanci! iakiż to przykry
rodzaj ludzi, nigdy się dosyć nagadać nie mo-
gą . . idź W. Pan mowie . . nuże prędey.

SKARB. [*czyni parę kroków y wraca się*]
Niechże ieszcze. . .

ZOSIA.

Jakiż nienafycony człowiek . . Idź W. Pan
w iednę a W. Panna w drugą stronę [*rozpycha
ich, Skarbnikiewicz się wraca do Kunegundy po
trzy razy, Zofia go odpychając mowi*]

Ieszcze? kiedyż się u Diabła z sobą nasmok-
czecie. no, no, czekaycie ieno moi Lubownicy,
zobaczę, ieżeli w tydzień po ślubie tyle upału
miłośnego ku sobie czuć będziecie.





A K T III.

S C E N A I.

ZOSIA, WINCENTY,
TREFNICKI,
WINCENTY.

NIECH mnie piorun trząśnie, jeżeli jakiej okropnej historyi w Domu nieuczynię, w łeb strzelę temu Urwisowi.

ZOSIA,

Sprawiedliwy jest gniew W. Pana; iednak go miarkować potrzeba, Jegomość nie iedne ułożenie odmienił, może y te odmienić; zostawmy to czasowi, on zamysły iego zapewne obali. . . .

WINCENTY.

Ach już mi cierpliwości niestaie . . jeżeli tego trutnia spotkam, uszy mu obetnę.

TREFNICKI.

A Diabliż W. Panu po iego uszach!

ZOSIA.

Niebądź W. Pan taki gorączka. owszem radzę mu, abyś w tej mierze wszelką zachował obojętność, Jeymc ten interesz najlepiej wykierue. Bardzo ma wiele mocy na umyśle O-

bludnickiego, chce więc z nim pomówić, y odkryć w tym punkcie zdanie jego, kazała tym końcem mu powiedzieć, że się chce z nim widzieć; zaczym W. M. Pan ztąd wynidź, bo tu sama na niego czekać będę.

WINCENTY.

Alboż ia przy tey rozmowie bydz niemogę?

ZOSIA.

O, nie, sami tu tylko będą.

TREFNICKI.

Co ia, to zdaleka będę się przyśluchiwał.

WINCENTY.

Ale ia mu ani słowka nie powiem.

ZOSIA.

O! ho! ho! W. Pan passjonat niewytrzymał-
byś mu . . y cały byś może zepsuł interes . .
wyidzcie . . wyidzcie obadway [*wypycha ich*]

TREFNICKI.

Nie wytrzymam, będę ich podśluchiwał [*idę
obydwa do Gabinetu*]

ZOSIA.

Nuże schrońcie się: bo już nadchodzi ta du-
sza pobożna.



S C E N A II.

OBLUDNICKI, ZOSIA.

OBLUDNICKI [*mowi do swego lokaja za drzwiami będącego*]

LORENTZ! . . schoway moy pasek żelazny y dyscyplinę, a prosź Boga, żeby cię od pokus bronil; ieżeliby się zaś kto ze mną chciał widzieć, powiesz, żem poszedł więzniom iałmużnę rozdawać.

ZOSIA.

Jakże się chęłpi ten potwarca przeklęty . . .

OBLUD.

Czegoż to chcesz moia Panno?

ZOSIA.

Mam W, Panu powie. . . .

OBLUD.

Ach! moy Boże . . nim do mnie mowić ~~za-~~
czniesz, proszę cię, weź tę chustkę [*dobywa*
chustki z kieszeni]

ZOSIA.

A to na co?

OBLUD.

Zakryi nią pierś swoie , patrzeć na nie nie mogę, bo przez takowe widoki ranią się dusze, y myśli się rodzą nieprzyzwoyne.

ZOSIA.

Bardzo widzę W. Pan łatwy do pokusy, znać

że ciało wiele w zmyślach jego czyni imprefyi, co ia to dali Bog tak prędko do pokus nie iestem, y choćbym W. Pana od głowy do stóp, naguteńkiego widziała, upewniam, żebym najmniej do skóry jego nie miała pokusy.

OBŁUD.

Albo skromniey mów moja Panno, albo ztąd zaraz poydę.

ZOSIA.

O! niechodź W. Pan proszę, owszem ia ztąd wynidę, tylko mu powiem, że tu Jeymść zaraz nadeydzie dla rozmowienia się z W. Panem.

OBŁUD. [*z radością*]

O! chętnie bardzo.

ZOSIA [*na stronie*]

Jak że go ta nowina ucieszyła? dałabym życie swoje, że się w Jeymci kocha.

OBŁUD.

Rychłóż tu przyidzie?

ZOSIA.

Zdaie mi się, że już idzie . . tak iest, to ona zostawuję tedy Was Państwa famych [*odchodzi.*]



S C E N A III.

PODSEDKOWA, OBLUDNICKI.

OBLUDNICKI.

Nieskończone Bogu oddaie dzięki, że W. Dobrodzikę na duszy y na ciele zdrową widzę, o co gorliwie w niegodnych modłach moich Niebios proszę, iako nayprzywiązańszy y nayżyczliwzy iey sługa.

PODSED.

Bardzo W. Panu dziękuję, za te pobożne życzenia iego . . . ale uładźmy, wygodniey nam będzie.

OBLUD. [*podaje iey krzesło y sam siada*]

Jakże? przecież się W. Pani Dobr. teraz czerstwieyszą bydź-czuiesz,

PODSED.

Dalekom zdrowsza, y iużem ze wszystkim frebrę straciła.

OBLUD.

Nie przypisuję tego niegodnym modlitwom moim, ktore podobno żadnych nie mają zasług . . . ale iednak muszę się przyznać, iż żadney nie posyłam do Nieba modły, ktoraby zdrowia W. Pani Dobr: za cel miała

PODSED.

Dofyć mi iest znaioma gorliwość W. Pana, ktorey. . . .

OBŁUD.

Niemozna nigdy nazbyt szacować drogiego zdrowia W. Pani Dobr: dla polepszenia ktorego, chętniebym był ofiarował życie swoie.

PODSEĘD.

Jest to bardzo wielka miłość chrześciańska, y wiele mu mam wdzięczności za te ku mnie względy.

OBŁUD.

W. Pani Dobr: nie rownie większych warta jesteś.

PODSEĘD.

Radabym z W. Panem o jedney rzeczy w sekrecie mówić chciała, iakoż rozumiem że tu nas nikt niepodslucha.

OBŁUD.

Chętnie chcę wiedzieć ten sekret, y bardzo mi to miło, że mi się zdarza sposobność mowienia sam na sam z W. Panią Dobrodzieyką; dawnom iuż o to prosił Niebios, y widzę, że mi się dziś tey pożądaney doczekał chwili.

PODSEĘD.

Zyczyłam sobie tym końcem osobną z W. Panem mieć rozmowę, abyś mi szczerze ferce swoje otworzył, y z niczym się przedemną nie taił.

[*Wincenty y Trefnicki wchodzą po cichu na Teatr y przysłuchują się.*

OBŁUD.

Ja też iuż dawno pragnę, całą duszę moją W. Pani Dobrodzice otworzyć, y wyznać iey, że mi

nie z powodu złości, albo dziwactwa ganił, wizyty które W. Pani Dobr: od różnych Ichmcior odbierał, ale jedynie z powodu żarliwości, czyli przywiązania. . .

PODSEŃD. [*przerwywając mri*]

Ja temu daię wiarę . . y mniemam że zbawienie moje tę w nim wzbudza gorliwość.

OBŁUD. [*bierze ją za rękę y ściska iey palce*]

Tak jest Mościa Dobr: bez wątpienia . . . y żarliwość moja, tak jest natężona, że . . .

PODSEŃD.

Ey! oy. oy . . iakże mi W. Pan bardzo ściśnąłeś palce!

OBŁUD.

To z wielkiej gorliwości . . . niemyślałem W. Pani Dobrodzice nic złego uczynić, y wołałbym raczey . . [*kładzie rękę na iey łono*]

PODSEŃD.

Coż to tam ręką W. Pana robi?

OBŁUD.

Probię iaka to suknia . . Materya mi się zdaie bardzo delikatna.

PODSEŃD.

Ach! day mi W. Pan pokoy, bom ia strasznie łaskotliwa [*umyka swego krześla*]

OBŁUD. [*na boku*]

Tym lepiej! [*przyświeca się do niey y kładzie rękę na pierś oglądając niby błądyny*] Moy Boże iakież to przedziwny deslein w tym garnirowaniu;

waniu; rzemieślna w tym wieku do wielkiej przyszły doskonałości . . co to za misterna robota, iakże to Damy nazywają?

PODSEDKOWA.

To są blondyny . . . ale mówmy o naszym interesie . . . Dozły mnie wieści, że mąż mój odmieniwszy myśl swoją, za W. Pana Córkę naszą chce wydać: powiedźże mi W. Pan szczerze, czy to prawda czy nie?

OBŁUD.

Namienił mi wprowadzić o tym . . ale mówiąc rzetelnie Mościa Dobrodziko, nie jest to, to dobro, do którego ja wzdygam, widzę gdzie indziej cudniejsze powaby, które życzeń moich iedynym są zamiarem.

PODSED.

O! bo W. Pan nic niekochasz na ziemi.

OBŁUD.

Nie mam iednak serca kamiennego, jest czułe.

PODSED.

Ja zaś mniemam, że wszystkie wzdykania W. Pana, prosto do Nieba dążą, y że nic na świecie serca iego ująć niepotrafi.

OBŁUD.

Miłość która nas przywiedzie do piękności wiecznych, niegasi w nas miłości do doczesnych. Zmysły nasze łatwo być mogą ujęte stworzeniem jakim doskonałym; na przykład W. M. Pani Dobrod: jesteś tym dziełem prześlicznym w którym doskonałą budowniczą Niebios upatruię rękę. Ta przyjemna twarzy kształtność,

ta oczu żywość, która serce w skrusz przenika, y inne wyborne przymioty, są to dary Nieba, tym szacowniejsze, im rzadziej w innych się znajduią; ani się wpatrywać mogę w tak doskonałe stworzenie, jakim jesteś W. Pani Dobrodzika, żebym w nim nie admirował Tworcy Natury, y nieczuł przywiązania do tego obrazu, w którym doskonałość jego odmalowaną widzę. Bojąc się jednak, żeby to uczucie niepochodziło od złego Ducha, przedsięwziąłem był, niezapatrywać się zbyt wiele w te doskonałości, abym przez to memu niezafszkodził zbawieniu; ale widząc na koniec, o! piękności najmilsza! że to rzecz niewinna, y że wcale wstydu mi nie szkodzi, odważam się W. Pani Dobrodzice uczynić ofiarę serca mego, a tą ofiarą w niey uczcić Niebo, które ją tylą powabami udarować chciało. Czekam jednak skutku moich chęci, iedynie od Jey dobroci, y ulżenia w cierpieniu moim od iey czuley łaskowości . . . w W. Pani Dobrodzice wszystka jest nadzieia moja, y dobro moje, od niey zależy udręczenie, y ulga moja . . . iednym słowem mówiąc, chcę za Jey wyrokiem, albo zostać szczęśliwym, ieżeli tak W. Pani Dobrodzika chcesz, albo też nieszczęśliwym, ieżeli się Jey tak podobać będzie.

PODSĘD.

Ta oświadczenie bardzo jest grzeczne, y przywodzić się musi W. Panu, że mnie niezwykłe zadziwia. . . Trzeba się było W. Panu od Jey cokolwiek nad nim rozmyśleć . . . co? dewot taki, jak W. Pan, który wszędzie jesteś przykładem skromności, y . . .

OBŁUD.

Ach! Mościa Dohrodziko, będąc dewotem, nieprzestaę byđź człowiekiem; patrząc na ieę śliczne powaby, serce nie ma czasu w długich zostawać uwagach. . . Pewien jestem, że ten sposób mowienia, zadziwia W. Panią Dobrodzikę . . ale chcey zważyć, że nie jestem Aniołem, a ieżeli te moje oświadczenia potępiaasz, krzywdę swoim czynisz wdziękom, które serce moje poniewolnie uieły. . . Jak tylko postrzegłem w Jey Osobie wyższą doskonałość nad inne stworzenia, zostałaś zaraz duszy moiey Panią wielowładną. To przenikające Jey pięknych oczu weyżnienie, owa z Niebios wlana przyjemność, wszytek serca mego przekonały upor. Moie poeity, łzy, modlitwy, y wszystkie ćwiczenia duchowne nieodbitego ku niey przywiązania przewyciężyć nie mogły . . wszak to nie sto razy oczy y wzdychania moje W. Pani Dobrodzice poznać dawały. . . . Jeżeli czuła dobroć Pani moiey, strapione serce moje pocieszyć raczy, wiecznym mnie niewolnikiem swoim mieć będziesz . . . Honor zaś W. Pani Dobrodziki nie będzie w niczym wyśławionym; nie tak się bowiem ludzie mego gatunku chępią . . miłościami swemi, iak czynić zwykli galancikowie Dworscy, którzy się nawet szczycą doznaniem od Dam względami, chociaż bardzo od tego dalekiemi byli. Oni są w kochaniu niestateczni, od iedney do drugiey biegaia, y ostatnią częstokroć płacą niewdzięcznością; ale tacy, iak ia, są dyskretni, choć pałaia ogniem miłości, z nim się kryia, y w głębokim intrygi swoje zachowuią sekrecie; spo-

foby zaś, których używamy na utrzymanie swojej sławy, są bardzo wygodne dla każdej Amantki, ślęcznie kochamy, przed światem się tajemy, y nigdy obelgi nie czyniemy Ołtarzowi, gdzie nasze palimy ofiary, każda w nas znajdzie żywą miłość bez zgorzienia, y ukontentowania bez bojaźni y szkody.

PODSEDKOWA.

Wielką W. Pan widzę w tey materji, masz wyniowę, y dosyć mi się w iasnych tłumaczysz wyrazach: . . A moy Dobrodzieiu? nie boisz się też W. Pan, żeby o tych gorących umizgach iego Mężowi memu nie powiedziała? zdaie mi się, że to odkrycie natychmiast by zerwało przyiaźń, którą ma ku niemu.

OBLUD.

Delikatność zdania W. Pani Dobrodziki czyni mi nadzieję, że ludzkiey przepuścisz ułomności, y raczysz pamiętać, że każdy słabości podlega, gdy tak doskonałe widzi stworzenie.

PODSED.

Może to bydz, że W. Panu odpuszczę, y przed Mężem moim tego niewspomnę, ale iedynie pod tym obowiązkiem, żeby Corka nasza poszła za Pana Skarbnikiewicza; mając bowiem wielką moc nad umysłem męża mego, łatwo go do tego potrafił nakłonić. Jeżeli to iak naysprędzey wykonasz, w głękokiey wykroczenie W. Pana zachowam niepamięci . . y nigdy. .



SCENA IV.

PODSEDKOWA, OBLUDNIC-
KI, WINCENTY, y TRE-
FNICKI,

(*raptem z gabinetu wypadają*)

WINCENTY.

NIE, Mościa Dobrodziko nie, . . wszyscy się
o tym dowiedzieć muszą.

TREFNICKI.

Hoy! zapewne, zapewne! przyśluchaliśmy
się wszystkiemu . . ale iakież ten Nabożniczek
akty strzelił do żywych obrazów wysła! . .
Pięknie, pięknie, patrzcież, ow Dęwot przy-
kładny.

WINCEN.

Dał mi cię Bog w ręce Zdrayco obłudny. . .
Co za odwaga Matce moiej, a Żonie Dobrodzie-
ia swego, o miłościach gadać? powiem ia Oy-
cu, iakiego złoczyńcę, iakiego niewdzięcznego
węża w swym Domu chowa.

PODSED.

Moy Synu! już dosyć dla niego kary, ten
przypadek go poprawi, trzeba mieć politowa-
nie, Damy uczciwe podobne głupstwa ukrywać
powinny, y ia mu dała słowo o tym nikomu
nie mówić.

TREFN.

Ale my na to słowa niedaliśmy, hoy! trze-

ba Jegomości kurtę sprawić, wey! wey, iakiż mi Umizguś.

WINCEN.

Nie Mościa Dobrodziko, nigdy na to zezwolić nie mogę; ten Oszust dosyć długo Oycem moim rządził, przecie mi się zdarzyła pora, poniżyć zuchwałość jego . . Pozna Oyciec iakiego niewdzięcznika dobrodzieystwa jego uczyniły.

TREFNIC.

Hoy! tak, złapaliśmy ptaszka, nietrzeba go tak na fucho wypuścić.

PODSĘD.

Ale daycież pokoy temu. . .

WINCEN.

Przepraszam W. Panią Dobrodzikę, że tego nie uczynię, nad to mi się ten Obieś dał w znaki, znalazłem przecie spotobność zemśzczenia się za to wszystko, com z łaski jego wycierpiał, przed wszystkimi występki jego rozgłoszę . . ale też właśnie Jegomość nadchodzi.

S C E N A V.

CIZ SAMI y FANATYCKI.

WINCENTY.

SLICZNEY się W. Pan Dobrodziey od nas dowiesz nowinki, świeży przypadek, odkrył czarną niewdzięczność tego Obludnika; widzie-

liśmy iak pięknie się chciał wypłacić W. Panu Dobrodzieiowi, za tyle łask y dobrodzieystw, y za to mocne przywiązanie. ktore maż ku niemu. . . Czy uwierzysz, że ten hołysz nikczemny śmiał Jeymości swoy upał niegodny oświadczyć. Ale iey serce dobre, tę iego zuchowałosc sekretem pokryć chciało, ia zaś tego na sobie przeniesć niemogłem . . . gdyż ta odwaga bezwstydną należycie ukaraną bydź powinna.

TREF.

Tak iest Mości Dobrodzieiu, trzebaby Jeymości za te koperczaki, suchą łążnię sprawić, widziałem na swoje oczy, że W. Panu Dobr. z wielkicy gorliwości myślał ciężkie postawić rogi.

FANAT.

Co! to ty prawisz hultaiu?

PODSED.

Ale przestańcież, proszę, dosyć już ukarany, żona rostopna takiemi baśniami Męża zatrudniać nie powinna, y dla Was też dosyć wielka zemsta żeście go zawstydzili, nie potrzeba było tego rozgłaszać przypadku [odchodzi.]

S C E N A VI.

FANAT.

Co ia to słyszę? . . . O! Nieba . . . czy można temu wierzyć?

TREF.

Ani wątpić o tym potrzeba, Jegomść stałe miał przedśwzięcie zrobić W. Pana Dobr. Rogaczem. *

OBLUD.

Tak moy Braciszku, tak . . . iestem winowayca, zbrodzien, grzesznik, pelen nieprawości, y zloczynca naywiększy w świecie . . . nie masz dnia w mym życiu bez zbrodni . . . cały moy wiek iest ogniwem wżetecznych występów, . . słusznie mnie Niebo tym karze przypadkiem . . ach! co ja za grzesznik, nawet się bronić nieodwazam, nieśmiem oczu podnieść, tak zawstydzony iestem. . . Wierz temu co ci powiadaia, y zaostrz gniew swoy na mnie, iako na niegodnego zloczyncę, wypadź mnie czym prędzey od siebie, o! . . niemasz tey kary choćby naysurowisza, ktoreyby nie był godzien.

FANAT. [do Syna]

Zdrayco! takąż to potwarzą Cnotę iego śmiesz czernić? [do Trefnickiego] Y ty bultaiu niepoczciwy utrzymywać ją ważyłeś?

TREF.

Jam temu nie winien, że mam dobre oczy, ia tylko mowie. . .

WINCEN,

Co zaś? zmyślone upokorzenie tey duszy obludney, tak dalece W. Pana Dobr. uwodzi, że, aż. . .

* Użyłem tego słowa Rogacz, za słowa Kor-
nut albo Rogonos.

FANAT.

Milcz przekłeta beſtyo.

TREF.

Ha! ha! ha! on widzę oſzalał!

OBLUD.

Ach! pozwol mu mowić, nieſprawiedliwie ſię gniewem unosiſz, wierz im wierz, na coż maſz pobłażać zbrodniom . . W. Pan patrzyſz na powierzchowne ſprawy moje, y ſądziſz z nich żeſm ieſt Cnotliwym . . ach oſzukiueſz ſię Braciſzku temi pozorami . . . Nieieſtem takim, iakim ſię bydź zdaie . . . Wſzyſcy mnie za Człowieka pocziwego y pobożnego maia, ale ia wielki złoczyńca, wielkie ładaco . . Tak moy Synu . . , tak Panie kochany. . . Mowcie, żeſm Wiarołomca, zdrayca, zbrodzien, potwarca, Oſzuſt, złodziey, zboycza, nazwiycie mnie ieſzcze y gorzey, ia ſię niſzemu nieſprzeciwie, wartem tego, y chcę to na klęczkach [*klęka ſłożywſzy ręce*] znieść tę hańbę, na którą przez zbrodnie moje ſzkaradne zaſłużyłem.

FANAT. [*do Oblud.*]

Ach! to nazbyt [*do Syna*] Coż zdraycy? ieſzcze to was ſerce nieſtrofue?

TREF.

Bynaymniey nie, y owlzem ſię dziwuie że. . . .

WINCEN.

Co? więc iego mowa obludna, tak dalece W. Pana Dobr: uymue, że nawet. . . .

FANAT.

Milcz poczwaro [*do Obłud.*] Moy Braciszku, ach! podnieś się proszę [*uciera kolana Obł.*] [*do Syna*] Synu bezbożny! . . .

WINCEN.

A on widzę potrafi. . .

FANAT.

Ey! milcz.

TREF.

A! to się naturalnie niedzieie, musiał go ten oszuł oczarować.

WINCEN.

Ledwie się niewścieknę. . . Co zaś? ia mam na to milczeć?

FANAT.

Ciszey mówię! bo iak mi przebąkniesz aby słowko, kości w tobie pogruchoczę.

TREF.

Ha! ha! ha, opętany Fanatyk.

OBŁUD.

Moy Braciszku! zaklinam cię na miłość Boską, niegniewayże się, wołałbym niewiedzieć co cierpieć, niż żebyś miał wyrzucić gniew swój na niego.

FANAT. [*do Syna*].

Dufzo niewdzięczna!

OBŁUD.

Day mu pokoy . . . bo prawdziwie na oba pa-

dnę kolana, zaklinaiać cię, abyś się nie gniewał na Syna [kłęka]

FANAT. [kłęka y ścisła go]

Ach co czynisz Duszko pobożna! Duszko pokorna! [do Syna] Nic pocziwego, patrz iaka jest dobroć iego [podnosi go y całuje]

TREF.

Ha! ha! ha! szaloniuteńki

WINCEN.

Więc tedy. . .

FANAT.

Ciszey!

TREFN.

Tu się widzę na guzy zanosi, trzeba ztąd umknąć zawczasu. [odchodzi]

WINCEN.

Jakże zaś? czy można. . .

FANAT.

Ciszey mówię ci . . . wiem ia co was przeciwko niemu pobudza, wy go wszyscy nienawidzicie, poznaie to oczywiście . . . Zona, Szwa-gier, Dzieci, słu-dzy, wszyscy się zprzyśegli na niego . . . y wszystkich sztuk zażywają na poniżenie tey pobożney Osoby . . . ale im więcej wy go pognebić usiłujecie, tym więcej poważać go będę, y na złość całej Familii dam mu Corkę moję za żonę.

WINCEN.

Ale czy ona zechce przyiać rękę iego?

I i;

FANAT.

Musi hultaiu, musi, dziś jeszcze wieczor na psotę wam wszystkim, zobaczę ieżli mi nie będzie posłuszną; dam wam poznać, że ja rządę, y że wszyscy rozkazy moje pełnić powinni. . . Podź sam zaraz niecnoto, upadniy mu do nog y przeproś go na tych miast. . .

WINCEN.

Kto? ia mam upaść do nog temu hołyszowi, który . . fałszywą potwarzą. . .

FANAT.

Ach! obieśiu niepocziwy! śmiesz mi się jeszcze opierać? y lżyć tak Świętą osobę? . . . hey kija, kija.

OBŁUD [zatrzymuje go]

Dayże pokoy Braciżku!

FANAT.

Puść mnie, puść . . won mi z domu, y żebyś mi się tu więcej wracać nie ważył.

WINCEN.

Dobrze, poydę . . ale wiem. . .

FANAT.

Fort mi zaraz . . wyzuwam cię Synu odrodny z Dziedzictwa mego, y na wieki ci daię przeklęctwo moje.



SCENA VII.

TREFNICKI [*przybiega z kiem*]

WOŁAŁES W, Pan Dobr: kiia, otoż przyniosłem, upewniam, że się nie tak łatwo speka, możesz nim W. Pan Dobrodziey bezpiecznie wszystkie upały miłosne z tego gązka wypędzić.

FANATYCKI.

Co ty gadasz hultaju?

TREF.

Alboż to nie na niego kiia trzeba było?

FANAT.

Na niego zaś, ty bluźnierco bezbożny, ty śmiesz. . . .

TREF.

Prawdziwie sądziłem, że Pan Wincenty przekonał W. Pana Dobr: o niegodziwych żądzach tego Obludnika.

FANAT.

Jako zuchwalcze! co ty gadasz? hey! iest tam kto, kto kijow mu dać każe.

TREF.

Ach! Mości Dobr: daruy mi aby ten raz, nigdy już prawdy mówić nie będę . . niech skomam ieżelim co widział.

FANAT.

Nauczę ia ciebie, takie zmyślać potwarzy
[*wyrywa mu kii y bnie go*]

TREF.

Oy! oy! oy. [*ucieka.*]

S C E N A VIII.
OBLUDNICKI, FANATYCKI

FANATYCKI.

O TOZ to y ten hultay wszedł w spisek przeciwko niemu, przebog! coż im ta pobożna uczyniła osoba, że ją tak znieważają?

OBLUD.

O! Nieba daruycie im krzywdę, którą mi wyrządzają . . ach! gdybyś wiedział, iak tym tkliwie zmartwiony jestem, że mnie wszyscy w umyśle W. Pana czernić usiłują.

FANAT.

Nie trwoż się moy Braciszku, choćby się cale piekło na ciebie spiknęło, zaszkodzić ci niepo-
trafi.

OBLUD.

Same wspomnienie tey niewdzięczności wkroś duszę moje przeraża . . okropność, którą mi ten postępek sprawuie . . ale żal tak mi ferce opanował, że więcey mówić nie mogę, podobno mnie to o śmierć przyprawi [*niby płacze*]

FAN. [*płacząc bieży do drzwi y grozi*]

Nic pocziwego! żałuję, żem cię tu trupem nie położył . . Ukoy żal twoy, moy Braciszku, y nie martw się więcey.

OBLUD.

Zapobieżmy raczej tym kłótniom. Zdaie mi się że jestem źródłem wszystkiego zamieszania tego . . lepiej pono będzie, moy Braciszku, kiedy im ztąd ustąpię.

FANAT.

Co zaś? żartujesz sobie?

OBLUD.

Wszyscy mnie tu nienawidzą y ia doświadczam że mnie u W. Pana w podeyrzenie chcą wprawić?

FANAT.

Y coż ztąd, wszak widzisz że im niewierzę.

OBLUD.

O! zapewne to się na tym nieskończy, też same poduszczenia, których teraz słuchać nie chcesz. będą jeszcze powtarzane, y W Pana może uwiodą.

FANAT.

Nie moy Braciszku nigdy.

OBLUD.

O moy Braciszku, żona ma wiele mocy nad mężem swoim, y kiedy czas upatrzy wszystko. . .

FANAT.

O! nieboy się tego, już my lat blisko dwadzieścia z sobą żyjemy, nie potrafi mi już głowy zawrucić.

OBLUD.

Pozwol iednak, żebym się z domu twego iak

nayprędzey oddalił, bo ia tu u wszystkich iestem iak sol w oku.

FANAT.

Nie Braciszku, musisz się zostać, bo tu idzie o zbawienie moje.

OBŁUD.

Ha! kiedy inaczey już byź nie może . . . trzeba tedy znosić wszystkie prześladowania; iednakże gdybys pozwolił . . .

FANAT.

Ach! czy można.

OBŁUD.

Niechże y tak będzie . . . więc niemowmy i o tym . . . ale wiem, iak się obchodzić będę . . . honor iest to delikatna materya, będę tedy unikał kaźdey okoliczności, ktoraby przyczynę do podeyżrzenia y obmowy dać mogła . . . nie będę się nigdy widywał z Jeymością, y z tobą iedynie. . .

FANAT.

Nie, nie, niedbay nie na to, owszem ia chcę, żebyś im na pŁotę ustawicznie u niey przesia-
dał, y niedosyć na tym . . . żebyś im ieszcze żywiey dopiekl, niechcę innego mieć Dziedzica mey fortuny, iak ciebie, y tym końcem uczynię ci uroczyftą donacyą wszystkich Dobr moich ogólnie. Dobry y fzczerzy przyiaciel. ktorego obrałem za Zięcia swego, daleko mi iest miłszy niż Syn, Corka, Zona y wszyscy krewni . . . Jakże Duszo pobożna, czy niepozwolisz, żebyś to skutecznił ?

OBŁUD.

OBŁUD.

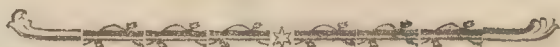
Niech się stanie zadowolony woli Boskiej we
wszystkim.

FANAT.

Nieboraczek! iak że ma serce powolne, poy-
dę teraz czym prędzey do Grodu, y uczynię
ci Cesią cały Fortuny moiey, niech potym
wszyscy pękna z zazdrości.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.





A K T VI.

S C E N A I.

PODSTOLI, OBLUDNICKI.

PODSTOLI.

W SZĘDZIE już o tym gadają, y upewniam W. Pana że to ciocie y honorowi jego krzywdę czyni . . . bo się wszyscy ludzie z postępku W. Pana gorszą. . . . Daymy, nawet że Pan Wincenty pobłądził, y że niesprawiedliwie W, Pana przed Oycem oskarżył, trzeba mu to było z miłości Chrześciańskiej darować, a nie zaś dopuszczać, żeby Oyciec Syna swego z Domu wypędził, y wydziedziczył, prawdziwie powinienś W. Pań mieć w tym skrupuł. . . . Y otwarcie odkrywam mu myśl moją, żeś w tym bardzo wykroczył, y ten postępек nieludzki pobożność W. Pana w całym oczernił Mieście. Wierz mi W. Pan, jeżeli cokolwiek masz ludzkości, gniew y urazę swoją dla miłości Boskiej sakryfikować będziesz y Syna znowu z Oycem pojednasz.

OBLUD.

Radbym to z całego serca uczynił, bo nienawisći żadney nie mam ku niemu . . . wszystko mu przepuszczam, y chętniebym mu we wszystkim usłużył. . . . le intereś Boski niekaże te-

go czynić, y jeżeli on tu powroci, ja muszę u-
stąpić. . . Po tey akcyi jego niesłychaney bez
zgorzienia z nim więcej przedstawiać nie mogę.
. . . Mowionoby zapewne, że ja się jedynie dla
tego z nim zgodził, iż poczuwając się do za-
rzutów przez niego mi uczynionych, obawiam
się, aby mi przed światem nie szkodził. Nie-
miano by tedy moiey powolności za miłość
bliźniego, ale za prywatny moy interes, a tak
Bog y cnota mieliby krzywdę.

PODSTOLI.

Ey Mospanie! po coż to z interesiem Boskim
w kaźdey rzeczy wyieżdżasz? . . . Alboż to
Bog potrzebuie W. Pana na zemśczenie się
swoiey krzywdy? zostawmy Niebu staranie u-
karania winnych, a czyśmy raczey to, co nam
przepisuje, każe nam przepuszczać bliźniemu, a
W. Pan się tu oczywiście woli jego sprzeci-
wiałz.

OBLUD.

Już powiedziałem, że mu z serca przepu-
szczam y to jest co mi Boskie nakazuje prawo
. . . ale żyć z nim nie mogę, bo by to było zgor-
żeniem, a w tym jest Boski interes.

PODST.

A to zapewne y w tym Boski interes, żeś
W. Pan przyjął tak wielką Fortunę od Oyca
iego, który za błędnym idąc kaprysem. Syna
swego wydziedziczył, a W. Panu wżyskie Do-
bra zapisał, chociaż najmnieyszego do nich nie
miałeś prawa.

OBLUD.

Ci ktorzy mnie znają, będą przekonani,
K ji

żem tego dla podłego nieuczynił interesu . .
 Wszystkie bowiem dobra ziemskie za nic nie-
 poczytuję, y ich blask nigdy mnie omamić nie-
 potrafi . . ieżelim offiarowane mi dobra przy-
 iał, iedynie na to z tego zezwoliłem powodu,
 żeby w złe niewpadły ręce . . wolę je ich po-
 siadać, niżeli dopuścić, żeby iaki respuśnik na
 złe y na obrazę Boską ich zażywał. . . Więc
 przyjmując te zapisy, iedynie tylko miłość Bo-
 ską y bliźniego za cel miałem.

PODST.

Powody W. Pana na bardzo fałszywym fun-
 damencie są załadzone. . . Co to W. Pana ma
 interesować, że właściwy tych Dobr Dziedzic,
 na złe lub na dobre ich użyie? czyś za niego
 odpowiedzieć powinien? upewniam W. Pana,
 iż daleko większe jest zgorzsenie prawdziwe-
 go Dziedzica z Fortuny odzierać, niż żeby on
 iej na złe używał.

OBŁUD.

Jam mu iej nie wydzierał. . . Jest to offia-
 ra z rąk pobożnych mi dana. . . Y Pan Win-
 centy podług sumnienia na mnie żalić się nie
 może, gdyż mi się żadnym sposobem z nim
 żyć nie godzi.

PODST.

Mospanie! muszę ci szczerze powiedzieć, że
 ani Cnoty ani sumnienia nie masz, bo gdybyś
 go miał cokolwiek powinien byś raczey sam
 uступить, a Syna z Domu Oycowłkiego nie wy-
 pędzać; bądź W. Pan pewien że wszyscy o
 pobożności iego bardzo złe powezmą mniema-
 nie y każdy. . . .

OBŁUD. [*dobywa zegarka*]

Ach! już ci to w puł do czwartey, muszę się śpieszyć na pewną pobożną powinność, daruy mi W. Pan, że mu dłużej służyć nie mogę.

PODST.

Jakaż to dusza przewrotna, oy! Świętożkowie! wolałbym z diablami mieć sprawę niż z takimi! Obludnikami . . Skrupuł go bierze żeby Dziedzic na złe nieużył Fortuny, a w tym nie ma skrupułu że mu ją wydziera. . . Jako widzę, tego gatunku ludzie, naywiększe występki, płaszczykiem cnoty y religii usprawiedliwiać umieją.

SCENA II.

PODSEDKOWA, KUNEGUNDA,
ZOSIA, PODSTOLI

ZOSIA,

ACH! zmiłuy się W. Dobrodziey, a ratuy tę nie szczęśliwą Pannę; niesłychane przedsięwzięcie, w którym jest Jegomość, wydania ją za Obludnickiego w rozpacz ją wprowadzi
Złącz się W. Pan Dobrodziey z nami, y usiłuy my iakimkolwiek sposobem te nie szczęśliwe obalić zamyśły, . . Otoż Jegomość nadchodzi, nieopuszczaymy tey okoliczności.



S C E N A III.

CIZ SAMI y FANATYCKI.

F A N A T Y C K I

CHWALA Bogu, żem tu Was zastał zgromadzonych . . . Moja Konnśiu! rozumiem, że będziesz kontenta z tego, co ci powiem. . . Za trzy godziny już będziesz Panią Obłudnicką.

KUNEG. [*kłeka*]

Ach! kochany Oycze! zaklinam W. Pana Dobr: na miłość Boga, któremu śmiertelny ucisk moy wiadomy, y na wszystko to, co jest zdolnym serce jego zniękczyć. . . Uchyl trochę tey władzy, którą ci nademną dała natura . . . nieprzymuszay mnie do tak frogiego pośluszeństwa, niebądź przyczyną nieszczęśliwości moiey, żebym się żaliła przed niebem na twoy rozkaz okrutny. . . . Ach! Oycze kochany, chcesz to życie, któreś mi dał nieznosnym dla mnie uczynić? che? che? [*uciera oczy chustką*] jeżeli mi nad nadzieię moią bronisz byż żoną tego, któremu dać mię przyrzekłeś dawniey, nie wystawiaj mię przynajmniej na tę okropność, którą czuję, skoro pomysłe o tym, któremu serce moie poniewolnie mam oddać. . . . Pamiętaj Oycze, żem Corką twoią, słuchayże głosu natury, krwi twoiey, y lękać się smutnych skutkow rozpaczey moiey, jeżeli mnie przymuszysz te okrutne wypełnić zamyśly.

F A N A T.

Nuże serce moie bądź mężnym y niepokazuy słabości ludzkiey.

KUNEG.

Miey W. Pan Dobr: iak naywiększe przywiązanie do Obludnickiego, day mu codziēń dowody łaski swoiey, ułap mu Dobra wśzystkie nawet y część moią, ale nierozciągay hojności swoiey aż na osobę moią, . . . Dopuść raczey, ieżeli inaczey bydź nie może, niech me smutne życie w scisłym dokończę klasztorze.

FANATYCKI.

Ot patrzcież no . . . co mi za Mniszka! zaraz się tym Panienkom chce do Klasztoru, iak tylko się Oyciec ich sprzeciwia miłości, wstań . . . wierz mi moja Corko, im więcej do Obludnickiego czuiesz wstępu, tym większą przed Niebem będziesz miała załugę, gdy poydziesz za niego, umartw zmysły twoie tym zamęściem, a nie susz mi próżnie głowy.

ZOSIA.

Ale czy można Mości Dobrodzieiu. , , .

FANAT.

Ey! ty, ty, ty, milez że! y niewtrącay tu nosa twego, rozumniejsz? . . .

PODST.

Jednakowoż gdybyś W. Pan moiey chciał posłuchać rady.

FANAT.

W. Pana rady moy Braciszku, mogą bydź bardzo dobre y reitropne, ale darujesz mi W. Pan że nie poydę za niemi.

PODSED.

Patrzac na to wśzystko sama iuż nie wiem

co mówić . . dziwować się tylko muszę W. Pana zaślepieniu; y że dzisiejszy przypadek niewyprowadził W. Pana z uprzedzenia, które masz ku temu człowiekowi.

FANAT.

Unizony sługa W. Pani, ja niewierzę pozorom, y znam przychylnosć W. Pani ku temu hultałowi Panu Wincentemu, który za iey pomocą tak niegodziwie tę pobożną osobę chciał oczernić.

PODSEŃD.

O! już też tego wycierpieć nie mogę Nie jest to oczernienie mój mężu, ale istna prawda . . upewniam W. Pana, że ta święta Dufza, winnego mi ubliżyła ufzanowania, y ważyła mi się swe bez-wstydne ku mnie odkryć chęci, niechciej dłużej wątpić o tym!

FANAT.

O! nie to nie pomoże, powstaway W. Pani iak chcesz przeciwko temu człowiekowi cnotliwemu niezafskodziśz mu, nie.

PODSEŃD.

Ach! iakże niepojęte jest zaślepienie W. Pana . . łatwobym cię iednak przekonała, że to prawda, gdybyś swemi widział oczyma.

FANAT.

Gdybym widział?

PODSEŃD.

Tak jest.

FANAT.

Bayki to, bayki.

PODSEŃD.

PODSEŃD.

A kiedy ja znajdę sposób, że to oczywiście zobaczysz.

FANAT.

Zartuy sobie, żartuy.

PODSEŃD.

Co za człowiek! przynajmniej odpowiedz mi, kiedy niechcesz nam wierzyć . . daymy na przykład, żebym ci widocznie wszystko pokazała, coż byś też o tym pobożnym powiedział człowieku?

FANAT.

W tym razie powiedział bym. . . Oto bym nie niepowiedział, bo to być nie może.

PODSEŃD.

Nadto długo moy mężu trwafz w tym błędzie, y właśnie o mnie trzymasz że cię chcę zdradzić . . przynajmniej dla sprobowania pozwol mi, niech cię świadkiem tego uczynię, co ci o Obludnickim mówiono.

FANAT.

Dobrze, całym sercem, ale proszę żebyś W. Pani swego słowa niecofnęła, ciekawym też wiedzieć iakiey do tego użyiesz sztuki.

PODSEŃD.

Zobaczysz W. Pan [do Zosi] prosz tu Obludnickiego do mnie.

ZOSIA.

Ale Mościa Dobr: jest to ptaszek ostrożny, ciężko go będzie ułować.

L

PODSEŃD.

O! niewierz temu, moja kochana, do razu w łapki moje wpadnie, nadto bowiem mi dufa; żeby najmnieyſze o mnie miał podeyrzenie, niech tylko tu przyidzie [*do Podst. y Kuneg.*] a W. Państwo ztąd uſtąpcie na moment.

S C E N A IV.

FANATYCKI, PODSEŃDKOWA.

PODSEŃDKOWA.

PRZYSUN W. Pan bliżey ten Stolik y wleż pod niego.

FANATYCKI.

A to na co?

PODSEŃD.

Koniecznie ſię W. Pan ſkryć muſisz.

FANAT.

Ale na coż pod Stolik?

PODSEŃD.

Zobaczysz W. Pan . . proſzę uczynić to tylko, y w krotce poznasz moje zamyſły nuże wleż czym prędzey, żeby W, Pana ani widział, ani ſłyszał.

FANAT.

Prawdziwie aż nadto W. Pani powolny iestem, zobaczę też przecie, iaki to ſkutek mieć będzie [*lezie pod Stolik, zpod ktorego przez nie- iaki czas głowę wyſcibia*]

PODSĘD. [do Męża pod Stotem będącego]

Jestem pewna, że mi się ta sztuczka głównie uda . . ale proszę cię, żebyś się nie gorszył z tego, co ja czynić będę. bo to delikatna bardzo materya . . niech mi się wszystko mówić godzi, co w tej mierze przyzwoitym osądzę, a to dla pokazania W. Panu, jaki gatunek Obludnickiego . . udawać tym końcem będę powolność, dla zdjęcia maski z tego hipokryty, wiem że miłość jego ku mnie aż nadto jest śmiała; o toż mu się teraz łatwiejszą pokażę, y chęciom iego podchlebiać będę. A ponieważ to tylko czynię dla przekonania W. Pana, o nierządnych iego ku mnie upałach, to daley interessu tego niedopuszczę nad wolę W. Pana. . . do Męża to należeć będzie, miłosne iego przerwać impety, gdyby oł natarczywości iego niebespieczeństwo iakie dla żony bydz miało. Wszak to W. Pana naybardziej interessować powinno . . skryi się skryi, bo już nadchodzi.

SCENA V.

OBŁUDNICKI, PODSĘDKOWA,

OBŁUDNICKI.

Powiedziano mi, że W. Pani Dobrze chcesz tu ze mną mówić.

PODSĘD. [wdzierząc się]

Tak jest . . chcę się W. Panu pewnego zwierzyć

K i j

rzyć sekretu . . ale zamknij moy Panie kochany wprzod drzwi, y zobacz, ieżli kto nas niepodśluchaie.

OBLUD. [*idzie do drzwi y wraca się*]

PODSEDKOWA.

Nie życzyłabym sobie, żeby nas kto znowu nad spodziewanie moie niezszedł, iak się nam nie dawno przytrafiło, nieuwierzył W. Pan, iak mnie to bardzo pomiejszało, niemal m od zmysłów odeszła; ale przecie chwała Bogu, ani mnie ani W. Pana w podeyzrzenie niewprawili u Męża ich zaskarżenia; owšem żeby pokazał iak wiele naszey dowierza cnocie, wyciąga tego po mnie, żebym się ustawicznie z W. Panem bawiła . . przeto bezpiecznie nawet, y drzwi zamknąwszy z nim mogę rozmawiać, y odkryć mu serca mego uczucia, z ktoremi się dotąd z boiaźni tałam.

OBLUD.

Ach! coż ia słyszę Mościa Dobr.? ta mowa mię mocno zadziwia, wcale teraz inżym stylem do mnie mówisz.

PODSED.

Oh! ieżeli się W. Pan natychmiast odraziłeś, żem się chęciom jego na ów czas sprzeciwiała, to W. Pan wcale serc kobiet nieznałz. Wiedz o tym, że płeć nasza iedynie dla tego nie zaraz wam się poddaie, żeby zwycięstwo wasze słodszym y ważnieyszym uczyniła; gdyż rzeczyłatwo nabyte nie mają tey u was ceny, iaką w tych pokładacie, ktorych wam z ciężkością y wielką pracą nabyć przyszło. Chciey potym

zważyć, że wstyd nam jest właśnie wrodzony, y wychowaniem skromnym w nas wlanv, przeto nieśmiemy się zaraz odkrywać z słabością naszą, ale choć się bronimy niby mężnie, można jednak poznać potym sposobie sprzeciwiania się natarczywościom męszczyn, że się serce nasze ze wszystkim poddaie. To wyznanie moje podobno nadto jest prętkie: Ale na coż mam dłużey odwłuczyc, y gwałt czynić sercu memu, które dawno zobopolną ku tobie miłością jest ujęte! wiele mię to już kosztowało, żem dotąd obojętność pokazywała Jedynie też dla tego domagałam się rozerwania ułożonego Matrzeństwa, nie chcąc na to zezwolić, żeby to serce w podział iść miało, które ja sama całe pragnę posiadać.

OBŁUD.

Niewymowna to jest Mościa Dobrodziko rozkosz dla Duszy moiej, że słyszę tak miłe słowa z tych ust, które z taką kocham żywością. Słodycz tego miodu, po wszystkich się moich zmysłach rozpiływa, podobać się W. Pani Dobrze będzie to jedynym staraniem moim, gdyż serce moje jedynie w ich wyrokach ubłogosławienie swoje znaleźć może; Ale niach się godzi temu sercu powiedzieć, że się nieco obawia, żeby ta mniemana szczęśliwość, nie była sztuczną zafadzką, dla odciągnięcia mię od ułożonego Matrzeństwa, które się już zbliża. Smiem tedy momenteyszych żądać dowodow, na przekonanie mnie, że te oświadczenia nie są siłtem dla mnie. Chciey tedy upewnić los moy szczęśliwy, udzieleniem mi istotney łaski twoiej, a zaraz ca-

łego siebie z Ciałem y Duszą pod Twoy rząd
oddam wielowładny.

PODSEDKOWA.

Jakże W. Pan szybkim bardzo krokiem spie-
szył do doświadczenia tych naywiększych do-
wodów! zdaie mi się, żeby z razu dosyć było
na oświadczeniu przychylności, a nie żądać za-
raz zupełnego swych pragnień natycenia.

OBŁUD.

Im mniej kto ma zasług Mościa Dobr: tym
mniej nadziei mieć powinien. . . Oświadczenia
sane tak mnie upewnić nie mogą, iakby mnie
skutek upewnił. . . W ten czas byłbym już
przekonany o Jey względach, gdybym istotny
tego dowód odebrał, y jużbym o szczęściu mo-
im dłużej wątpić nie mógł.

PODSED. [kaszle]

Prawdziwie, miłość W. Pana po Tyrańsku ser-
cem moim chce rządzić, y nawet nie daie mi
czasu do pomiarkowania się cokolwiek, chcąc
natychmiast korzystać z tey słabości, którą ci
przez powolność moją pokazała. . . .

OBŁUD.

Ale kiedy W. Dobr: łaskawie przyjmiesz
Hold, który iey serce moje ofiaruje, czemuż
dłużej szczęśliwość moją odwłaczasz?

PODSED. [kaszle]

Ale iakże na to co W. Pan po mnie wyma-
gaśz, bez obrazy Niebios zezwolić mogę? wżak
nas W. Pan codziennie tak gorliwie oto karcisz!

OBŁUD.

O! ieżeli tylko o to idzie, łatwo tę obale

przeszkodę, która serca W. Pani zatrzymać nie powinna.

PODSED.

Ale przebog! iakże się nie bać obrazy Boskiej?

OBŁUD.

O! Mościa Dobr; potrafię ja oddalić te śmiechu godne trwogi, umiem ja sekret, wyprowadzenia dusze boiaźliwe z skrupułow . . . To prawda, że nam Nieba pewnych zakazały uczciech, ale można jednak zażywanie onych, z ich pogodzić zakazem. . . Według potrzeby możemy sumienie nasze uspakaiać, złość uczynku naszego naprawuiąc czystością intencyi naszej. . . Podług tego sekretu, którego siey potym wszystkich nauczę prawideł, możesz się W. Pani Dobr: zawsze rządzić, y wszystko co się podoba uczynić, jest to próżny strach, który nam wlewa uprzedzenie. . . Ukontentuy więc Pani łaskawie niecierpliwe żądze moje, y nieobawiaiy się niczego. . . Ja odpowiem za to . . . profzę zwal to złe na mnie, którego się próżnie obawiaisz.

PODSED. [*kaszle mocno*]

OBŁUD.

Ale co to W. Pani Dobr: tak bardzo kaszleisz?

PODSED.

Bo wielką mam duszność na pierśiach.

OBŁUD.

Na pierśiach? niech ja ulecze tę duszność!
[*dobywa papier długi z Cukierkami*]

Skosztuj W. Pani Dobr: tych Cukierkow, u-
pewniam, że prędką przyniosą ulgę.

PODSEŃD.

To jest katar zapewne . . a zatym słodysz
bardziej by mi ieszcze zaszkodziła.

OBŁUDNICKI.

To nie dobrze, bardzo żałuję W. Panią Do-
brodzikę, bo to bardzo przykra choroba.

PODSEŃD.

Oh! bardziej niż wymówić można.

OBŁUD.

Więc tedy skrupuły W. Pani Dobr: ustać po-
winny, zwłaszcza gdy pewną bydź możesz, że
to w głębokim zostanie sekrecie, a złe nie jest
złym, tylko gdy się przed Światem odkryje,
zgorzelenie innych, występki czyni występkiem,
a to nie jest grzeszyć, kiedy się cichaczem y
potajemnie grzeszy.

PODSEŃD. [*kaszle mocno, y kobierzec na
Stole pociąga*]

Trzeba widzę już się poddać y na wszystko
zezwoić. . . Gdyż W. Pana inaczej ukonten-
tować nie mogę, ani uporu tego przełamać,
który mnie do ostatnich przymusza kroków. .
. . . Muszę przekonać otym, czemu wierzyć nie
chcą, y dać dowód istotny tey prawdy, o kto-
rey do tych czas wątpiono. . . . Jeżeli zaś ta
powolność ma w sobie co złego, to nie mnie
przypisać potrzeba, ale temu, który to na mnie
wymusza.

OB.

OBŁUD. [*całuje iey rękę z żywością*]

Tak Mościa Dobr. . . Ja to biorę na siebie, y
bądź pewna, że w tym nic takowego. . .

PODSEŃD.

Ach! zobacz W. Pan wprzód, ieżeli moy mąż
nie chodzi po Galeryi. . .

OBŁUD.

Coż to nam szkodzi, choć by y tam był. . .
Jest to Człowiek między nami mówiąc, które-
go podług woli za nos wodzić można, iam go
już do tego punktu przywiodł, żeby nic złego
o mnie nieuwierzył, choćby y sam widział. . .

PODSEŃD.

Bądź iak chce . . wyidź W. Pan jednak y
opatrz pilnie, czyli kogo za drzwiami, albo
na Galeryi nie maż.

SCENA VI.

FANATYCKI, PODSEŃDKOWA.

FANAT. [*wyfaxi z pod stołu*]

Patrzażyże. . . Jakież to człowiek bezbożny!
. . . byłbym dał życie swoje, że to Anioł, a on
widzę gorszy od diabła.

PODSEŃD.

Co zaś? już to tak prętko wyłazisz? o mój
kochany schoway się nazad, ieżczcie to nie czas,
zaczekay aż więcej zobaczysz, y niedowie-
rzay mylnym pozorom.

M

Nie, już nic gorszego, z piekła samego być nie może.

PODSĘD.

O! niepowinieneś W. Pan jeszcze na tym przedstawiać, trzeba być istotnie przekonanym, nim sądzić o rzeczach. . . . Nuż się skryj się W. Pan za mnie y niepokazuj się, aż zupełnie przeświadczonym będziesz [*kryje go za siebie*]

S C E N A VII.

FANATYCKI, PODSĘDKOWA,
OBLUDNICKI.OBLUD. [*bieżąc z radością*]

W Szytko uszczęśliwieniu memu sprzyja Mościa Dobrodziko, wżyskie obiegłem pokoje, nie masz tam żywego ducha, a serce moje żywym gorejąc upałem, dłużej . . . [*chce wpuść brat Podśędkową, która się unyka, a Fanatycki za obie łapie go ręce, y śmiejącą z, niego robi Figurę*]

FANAT.

Hola, hola, moja duszo pobożna, powoli, powoli, moy Aniołeczku Święty! diabelnie widzę obceśliwą masz miłość . . . o ho! otoż ow Świętoszek, jak go to biała pleć skuśiła. . . A wżak to waść miał z moją Cerką się żenić, a chciałeś się z żoną moją kochać; długom temu nie wie-

rzył, ale już teraz otworzyły mi się oczy, y
widziałem iaki waść ptafzek.

PODSĘD.

To com uczyniła, iest przeciwno chęci mo-
iey, ale musiałam tym sposobem postąpić z W.
Panem, chcąc Męża mego z błędu wyprowa-
dzić.

OBLUD.

Jak to? y W. Pan wierzysz. . .

FANAT.

Jeszcze waść gadasz? precz mi ztąd za-
raz. . . .

OBLUD.

Moie przedsięwzięcie. . . .

FANAT.

Hoy tak! widziałem ia dobrze waćcinę przed-
sięwzięcie, wiem ia, wiem na co się to zano-
siło. . . Won ztąd, zaraz mi się wynieś z do-
mu mego potwarco niepocziwy!

OBLUD. [*kładzie kapelusze zuchwałą
miną*]

W Panu się ztąd wynieść należy . . W. Pa-
nu. . . Jam iest Panem Domu tego, y w tym
momencie dam ci to poznać . . Proźnie podłe-
go używacie podstępny, na ukrzywdzenie moie.
Potrafię ia się tey zemścić potwarzy, y mam
czym oskarżać zdrajców podstępnych
Uymę ia się o krzywdę Niebu na mey osobie
wyrządzoną, y pognębie tych, którzy mi się
tak zuchwale wynosić ztąd każą. [*odchodzi*]

M ij



SCENA VIII.

PODSEDKOWA, FANATYCKI.

PODSEDKOWA.

Coż ta mowa iego ma znaczyć?

FANAT.

Ach! dla Boga! wszystkie truchleję.

PODSEDK.

Coż to jest?

FANAT.

Poznałem w tym błąd, y zaślepienie moje. . .
Ach ta Donacya nieszczęśliwa otwiera mi o-
czy.

PODSEDK.

Jaka donacya?

FANAT.

Ach już się stało, ale mnie insza rzecz bar-
dziej ięszcze zatrważa.

PODSEDK.

Coż to takiego?

FANAT.

Wszystkiego się dowiesz, ale teraz czym prę-
dzej zobaczyć muszę, ięśli w iego Gabinetie,
pewna ięszcze ięst Szkatułka.

PODSEDK.

Widzisz mój mężu, niechciałem wierzyć, gdy

cię wszyscy przestrzegali, że to oszust, że iego pokora y pobożność zmyślona.

FANAT.

Niech go piorun trzaśnie z iego pokorą, y pobożnością, Hoy! poznałem się teraz na liżyduszkach, co się tulą, oczy spuśczaia, długo modlą, a w sercu Diable rogatego noszą.

KONIEC

AKTU CZWARTEGO.





A K T V.

S C E N A I.

FANATYCKI, PODSTOLI.
FANATYCKI.

A CH! moy Braciszku zginolem ze wszystkim.

PODSTOLI.

Nierozpaczay W. Pan tak bardzo, może jeszcze znajdziemy sposob zapobieżenia niebezpieczeństwu.

FANAT.

Dla Boga przepadłem, ta szkatułka mnie najbardziej trapi.

PODST.

Czyliż to w niey tak ważne się zawierały rzeczy, że iey zguba tak strasznie W. Pana strwożyła?

FANAT.

Jest to Depozyt dobrego Przyjaciela mego Imię Pana Wołownickiego, który pod czas ostatniego spisku uciekając za granice, mnie ią powierzył, zakławszy mnie na wszystkie zadawnionej przyjaźni Naszey obowiązki, abym mu ią wiernie schował, gdyż się w niey bardzo ważne

Stanu znajdują Tajemnice, od których Fortuna
y życie jego zawisło.

PODSTOLI.

A na coż ią W. Pan w cudze oddałeś ręce?

FANATYCKI

Slepe w Obludnickim zaufanie do tego mnie
przywiodło szaleństwa; zwierzywszy mu się bo-
wiem tego sekretu, namowił mnie ten oszuł, abym
mu tę szkatułkę oddał do schowania, y wziął do
tego za Powód, ucalenie sumnienia mego; że-
bym bezpiecznie mógł przyjąć, że jey nie mam,
gdybym do tego był pociągnięty, ieżeliby się ta
Tajemnica odkryć miała.

PODST.

Przyznać muszę, że się W. Pan sam dobro-
wolnie w tę wtrąciłeś przepaść, zwierzenie się
tego Sekretu, y zapisanie całej fortuny swojej
temu nikczemnemu człowiekowi, są to dowody
ostatniey nieroztropności W. Pana, wierz mi
moy Braciśzku, że ten hołysz, nad spodziewanie
szkodzić ci może, mając za sobą tak mocne za-
kłady: zaczym radzę W. Panu żebyś się raczey
straś łagodnością go uiąć.

FANAT.

Moy ty Boże! ktożby się spodziewał, żeby
pod tak Anielską postawą, serce diabelskie być
miało. . . Jam go z ostatniey wyciągnął nędzy
, . . Jam mu dał wszystko, a on mnie tak zdra-
dził . . hey . . poczekajcie nabożniśie, wyrze-
kam się was na zawsze, przysięgam że dla was
gorzszym od wszystkich diabłów będę.

W. Pan widzę z iednego zbytku w drugi przechodził; że W. Pana ieden zdrayca oszu-kał, czyliż się godzi rozumieć, że tacy są wśzy-scy? on był Hipokryta . . Potwarca . . Lecz niemożna sobie ztąd wnieść, że już dziś żadne-go prawdziwie pobożnego niemasz człowieka. . . Zostaw W. Pan Libertynom to zdanie, kto-ry cnotę równie ważą iako y obłudę. Nie kładź W. Pan wśzytkich na iedną szalę, y nie-śądź o fercach przez powierzchowne grymasy, ale przez istotne czynności. Obludnikow nie miey za cnotliwych, ale też nie czyń krzywdy prawdziwie cnotliwym.

S C E N A II.

FANATYCKI, PODSTOLI.
WINCENTY, TREFNICKI.

WINCENTY. [*wpada pomięszany*]

C O Z to ja słyszałem Mości Dobrodzieiu? . . . Jestże to prawda, że ten oszuł, ten miżerak, ktoregoś z okropney wyciągnął nędzy śmiał przegrazać się na W. Pana Dobrodziecia? że za świadczone Jemu Dobrodzieystwa tak czarną płaci niewdzięcznością?

FANATYCKI.

Prawda! moie Dziecie, prawda, chcę mię zgubić ten Filut niepoczciwy.

WIN-

)(100)(

WINCENTY.

Ach! co za lotr! kiedy on naprzeciwko W, Panu Dobrodzieiowi powstał, y same nawet Dobrodzieystwa bierze za narzędzie, na uknowanie zguby Dobrodzieia swego.

FANAT.

Tak moy Synu . . y to mnie naybardziej dolega . . ach!

TREFNICKI.

Widzisz W. Pan Dobrodziey jaką masz wdzięczność, a mnieś W. Pan Dobr. za tego obieś, boki tak omłócił.

WINCENTY.

Dopusć mi W. Pan Dobrodziey . . na miazęgo zbię . . jego śmiałość iak naysurowiey ukaraną bydź powinna. . . Do mnie Syna należy zemiścić się krzywdy Oycu wyrządzoney . . poydę y trupem go położę.

TREFNICKI.

Ja też swoią serpetyrę naostrzę, y za moje guzy, od ucha do ucha pyłk mu przetnę.

PODST.

Hola! sroycie . . y pohamuycie te zapędy płochę . . . to przedsięwzięcie, nieroztropney młodości tylko iest przyzwoite? żyjemy bowiem pod Monarchą sprawiedliwym, który gwałtownie cierpieć nie może, y wśyśkim poddanym swoim bezwzględny sprawiedliwość wymierzać każe. innych tedy nam środków, w tey mierze użyć potrzeba.

N

SCENA III.

POBOZNICKA, KUNEGUNDA
PODSEDKOWA, ZOSIA,
FANATYCKI, PODSTOLI,
WINCENTY, TREFNICKI

POBOZNICKA.

COZ to moy Synu? iakichże się strasznych
taimnic tu dowiaduję.

FANAT.

Są to nowinki, ktorych oczy moje były świad-
kami, widziśz teraz W. Pani pociechę z swego
uлюбionego Faworyta. Oszust przeklęty . . .
iaką mi za dobroć moją płaci niewdzięcznością.

ZOSIA.

Nieboraczek! . . .

FANAT.

Jam go z Chrześciańskiej litości wydzwi-
gnął z nędzy. . . Jam do domu przyjął, y le-
piey z nim niż z rodzonym Bratem postępowa-
łem, każdego dnia nowych dobrodziejstw do-
znawał ode mnie, . . . Tak dalece żem mu na-
wet Córkę moją offiarował, y z nią wszystkie
Dobra moje. . . A ten zdrayca . . . ta poczwa-
ra piekielna chciał ieszcze żonę moją uwieść. .

(102)

ZOSIA.

Nieboraczek! . . .

FANAT.

Y nie dosyć na tym, używa własnych Dobrodziejstw moich na zgubienie moje, grozi mi, z domu mię wypędzić, y do tey mnie przywieść nędzy, z ktorey go wyrwałem. Patrz W. Pani iaka to niewdzięczność! ktożby siętego spodziewał.

ZOSIA.

Nieboraczek! . .

POBOZNICKA.

Co ty gadasz moy Synu? to niepodobna, żeby ten człowiek świątobliwy, tak niegodziwe miał występki.

FANAT.

Jam to samo o nim trzymał, ale teraz poznałem, że m chytrego węża w moim ogrzewał zanadru.

POBOZNICKA.

Ale moy Synu, ludzie pobożni często na siebie zawiść zaostrzają.

FANAT.

Co tam W. Pani Dobrodzika prawisz.

POBOZNICKA.

W Twoim Domu wiele zgorżenia, Pan Obłudnicki za Honor Boski się upominał, y to na niego nienawiść ściągnęło.

FANAT.

Ale nienawiść, wszakże ia na
moje oczy. . . N ij

POBOZNICKA.

Mój Synu częstom ci to powtarzała, gdyś
częściej do szkół chodził, że cnota zawsze prze-
śladowanie cierpi,

FANAT.

Ale coż to ta mowa ma znaczyć.

POBOZNICKA.

Pewnie ci o nim jakie plotki donieśli.

FANAT.

Wszakżem już powiedział W. Pani Dobro-
dzice, że na swe własne widział oczy.

POBOZNICKA.

Ey! bo gdybyś wiedział jaka jest złość ludz-
ka. . . .

FANAT.

A! już mi cierpliwości niestaie, powiadam
żem był przytomny, y słyszałem na uszy moje.

TREFNICKI.

Zobaczysz Zolciu, że się Syn z Matką o niego
pokłucą.

POBOZNICKA. [*myśląc trochę*]

Języki ludzkie zawsze są pełne iadu, y na
nayswiętobliwze rzucają go osoby.

FANAT,

A coż u diabła. . . .

POBOZNICKA [*biąc się w głowę*]

Ach! dla Boga mój Synu, y ty już biega
wspomniasz.

)(104)(

FANAT.

Ja całe piekło wezwę . . gdy mi W. Pani
nieuwierzyśz, powtarzam jeszcze raz, że przy
dobrych zmyśłach będąc, szkaradne zamyśli te-
go hultaia widział.

POBOZNICKA.

Pozory nas często zwodzą, y nie trzeba rze-
czy tak brać iak ie widziemy.

FANAT.

Ledwie nie szaleję! . . .

ZOSIA.

Ha, ha, ha, pocziwie mu tak, niechciał on
też nam dać wiary.

POBOZNICKA.

Natura nasza skłonna do podewzrzenia, y cno-
ta częstokroć występne ma postawy.

FANAT.

Tak, tak, to pewnie cnota, że żonę moję
chciał. . . .

POBOZNICKA.

Nie trzeba tak porywczó sądzić z omylnych
pozorów, y powinienes był czekać dowodniey-
szych.

ZOSIA.

Ha, ha, ha. To mi się podoba.

FANAT.

A cóż u diabła, to ia miał czekać, żeby w o-
czach moich żonę . . W. Pani widzę chcesz .
. . żebym tu głupstwo iakie powiedział

TREFNICKI.

Ha, ha, ha, alboż to co osobliwego . . Nie jeden i to Mąż niezmrużonym okiem na to patrzy.

POBOZNICKA.

Ale czy mogęż temu wierzyć, że się na to chciał odważyć, musiałeś zle widzieć moy Synu!

ZOSIA.

Prawda Mościa Dobrodziko, bo też Mężowie często rzeczy wspak biorą.

FANAT.

Do takiej mnie W. Pani przywiodła niecierpliwości, że się boję żebym iej nieubliżył ulżanowania.

TREFNIC.

Widzisz W. Pan Dobrodziey iak to rzeczy idą na świecie, mnieś kiem oprał za prawdę, a teraz się gniewasz, że tey samey prawdzie uwierzyć niechcą.

PODST.

Moy Braciszku! my na próżnych sprzeczkach czas tracimy ktoregoby nam na zwrocenie podstępnych zamiarow Obludnickiego zażyć potrzeba.

WINCENTY.

Hoy! zapewne Mości Dobrodzieiu, on gotow nayniegodziwizych użyć krokow na zgubę naszą.

X 106 X

PODSEŃD.

Ja to samo o nim sądzę, wszystkiego złego po nim spodziewać się potrzeba.

PODST.

Bez wątpienia, do takich się na W. Pana uda śródaków, które czarne zaniósł jego uskute-
cznić mogą. Ktoż wie jeszcze co się w tej przekłetej znajdzie Szkatułce, a podobno po-
twarz Jego rzeczy bardziej oczerni.

FANATYCKI.

Wszystko to być może, przebóg zginą-
łem! . .

PODSTOLI.

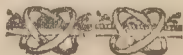
Daleko bezpiecznieby było, gdyby go zgo-
dnym sposobem ująć można.

PODSEŃD.

Ey! gdybym ci była wiedziała, że taką ma
broń w ręku swoich, nigdybym nie dała była
przyczyny do tylu troskliwości y zamięsza-
nia.

FANAT.

Ktożby się był spodział. . . Czegoż to chcą
ci ludzie? właśnie ja też teraz sposobny jestem
do przyjęcia kogo.



SCENA IV.

BURGRABIA, dwóch Szlachty,
WOZNY, POBOZNICKA, FA-
NATYCKI, WINCENTY, KU-
NEGUNDA, ZOSIA, PODSĘD-
KOWA, PODSTOLI, TRE-
FNICKI.

BURGRABIA [do Zosi]

Kłaniam moją Panno, trzeba mi się zobaczyć
z Imię Panem Fanatyckim, pilny mam do niego
interes.

ZOSIA.

On teraz ma gości, wątpię żeby się z W. Pa-
nem mógł widzieć.

BURGRABIA.

Powiedz mi tu, moja Paničko że y'ia gość,
y'żem tu w ważnym przyjechał interesie, z ktore-
go kontent będzie.

ZOSIA,

Ktoż W. Pan jesteś?

BURGRABIA.

Powiedz tylko, żem tu przyślany od Pana O-
błudnickiego.

ZO-

ZOSIA. [do *Fanatyckiego*]

Przytzedł tu jakiś Imię od Obludnickiego, w pewnym interesie z którego w Pan Dobry, iako powiada, kontent będziesz.

PODSTOLI.

Czegoż on chce? trzebaby się z nim rozmówić.

FANAT.

Może się ze mną chce zgodzić. Jakże sobie z nim mam postąpić?

PODST.

Radzę W. Panu, żebyś wszelką pokazywał powolność, gdyby W. Panu z strony Obludnickiego zgodę miał proponować.

BURGRABIA.

Dawno sobie życzyłem mieć te szczęście poznania się z W, Panem Dobrodzieiem.

FANAT.

Poznaię po grzeczności Jego, że mnie z Obludnickim będzie chciał zgodzić.

BURGRABIA.

Z nieboszczykiem Oycem W. Pana Dobrodzieia, gdy ieszcze w Palestrze zostawał, scisłą miałem przyiaźń; był to Kawaler *de jure y hayda*, potrafił y wybić y wypić. Pamiętam iakżeśmy w Czersku żydom brody wyrywali, y szynkarkom okna wycinali, gdy nam miodu na kredyt dawać niechciały.

FANAT.

Jakże mam honor zwać W. Pana, któż iestś?

(fog)

BURGRABIA.

Jestem Tradnicki do usług W. Pana Dobr: z Woiwodztwa Mazowieckiego, y od trzydziestu lat Urząd Burgrabiego Grodzkiego sprawuję z Honorem. Przyszedłem tu brać intromissyą do Pałacu W. Pana Dobrodzieia.

FANAT. [z żywością.]

Co Intromissyą?

BURGRA.

Tak jest. Imię Pan Obludnicki mocą zapisów Grodównie sobie uczynionych, przyśłał mnie tu, abym W. Panu Dobrodzieiowi wypowiedział mieszkanie w tym Pałacu. Zostawuję tu tych dwóch Szlachty, żeby w nim Posessyą wysiedzieli.

FANAT.

Co? ja się z własnego Domu mego mam wyprowadzić?

BURGRABIA.

Nieinaczey. Y ieżeli W. Pan w tym jaką trudność będziez czynił, przyjdę tu *cum brachio Militari*, które W. Panu pomoże ztąd się wynieść.

WINCENTY.

Proszę miarkować swe wyrazy Mospanie, y wiedz o tym, że Wasć wraz z swoim *Brachio* po skorze wziąć możesz.

BURGRABIA.

Mospanie Młody! ja do W. Pana interessu nie mam, powinność tu mego Urzędu sprawuję, y spodziewam się że się, ukt Intromissyi moiej opierać nie będzie ważył.

X iro X

TREF.

Ey strzez się Mospanie Burgrabio, żeby do
W. Pana grzbieta Introniffyi nie wzięto.

BURGRABIA.

A! zobaczę, będzie *Causa facti* będą dwa za-
kłady Starościńskie, nie złaby to była obrywka.
[do *Szlachty*] iest tam Woźny [woźny
wchodzi]

TREF.

To tu widzę nie przeliwki Mości Dobrodzie-
iu. To Juriakiś zuchwały, nie łatwo go się po-
zbędziemy; ale probuy W. Pan Złotem, może
będzie grzeczniejszy, bo ci IchMość nadzw-
yczajną do tego Metalu maia Sympatyą, gdy go
zobaczą, serce ich iak maśło topnieie; nawet
częstokroć przeciwney stronie, gdy złota nie
żałuje, papiery wydaia y umyślnie wexle gubia.

WINCENTY.

Ja zaś W. Panu Dobrodziejowi nie radzę,
żebyś mu dał pieniędzy, bo choć się ten da
przekupić, to inszy przyidzie, lepiej zrob-
my *Causam facti*, a zię diabla niż ią zadzie-
ścić lat zkończy; tym czasem znajdziemy spo-
sob zniesienia Cefiyi Obludnickiemu uczynio-
ney.

FANAT.

Moy Synu! ta rada wcale iest, nierostropną,
żadne teraz nieuchodzą gwałty, dawniey to
mocniejszy słabszego bezkarnie mógł ukrzyw-
dzić, ale te czasy minęły. Sędziowie i spawie-
dliwi y przekupni znajduia węzidło w Nay-
wyższey Magistraturze, rostropnie ustanowio-

O ij

X III X

ney. Nie wolno' Im teraz Praw podług intere-
resu naciagać, myślę się tam udać, opiszę w
Memoryale czarność postępku Obludnickiego,
y pewny jestem, że ta Cesiya uchylona będzie.

PODSTOLI.

To przedsięwzięcie arcy iest roztropne.

WINCEN,

Kto wie, kiedy W. Pan Dobrodziey dosta-
nieiz rezolucyą, a tym czasem nas z Domu wy-
pędzą.

TREF.

Tylko mi W. Pan Dobrodziey nieprzeszkad-
zay, to ja Pana Burgrabiego, y tę Hołotę, wnet
zład wyforuię.

FANAT.

Zebyś mi się nie ważył żadnych używać
gwałtów.

TREF.

Gdzie zaś! szabli nawet nie dobędę, tylko
tak suchemi razami, naprzykład kułakiem w
bok.

BURGRABIA [*stoiąc na progu*]

Hey Woźny!

WINCEN.

Jakże y pozwolisz W. Pan Dobr: żeby wziął
Posiesiya; co to dla nas za wstyd będzie!

TREF.

Hoy co to, to prawda, cała Warszawa na
ten krzyk się zbieży, będą ludzie rozumieć że

za wexle Pałac tradują. *Woźny woła.* Mości
Panowie raczcie o tym wiedzieć, że Urząd Grodz-
ki mocą z zapisów. . .

WINCEN. [*bieży y wypycha Woźnego*]
Nieznioś tę hańbę na sobie.

TREF. [*pomaga mu*]
Won ztąd Panie Bracie Szlachcicie dny dru-
gi, szukajcie sobie gdzie indziej kwatery, nu-
że, wynoście się, żebyście strawnego po bokach
niedostali.

BURGRABIA.

A to co? *Protestor, protestor* Mości panowie,
zanioś zaraz Manifest *de violentia & oppositione.*

TREF.

Nie rób tu Waśc hałasów, bo się jeszcze da-
guzis protestować będziesz.

BURGRABIA.

Co, co, Waśc gadasz? . . Co to za zuchwa-
łość, a nie wiesz to Waśc że ja stary Oficyna-
lista.

WINCEN.

Proszę się ztąd wynieść moy stary Oficyna-
listo pokiś cały.

BURGRABIA.

Poydę, poydę, ale wiem w iakich Terminach
Manifest uczynię. [*do Szlachty*] Mospanowie
Bracia niewychodźcie ztąd, chyba że was gwał-
tem wypchną, a przez to nieochybnie na kon-
tusz zarobicie.

TREFN.

Mylił się Mospanie, bo nie na kontuż, ale po kontużu wezmą [wypyla ich gwałtem] Hayda! won ztąd Panowie Hołyże! nuże! ~~przedzey!~~ [Szlachta wychodzi]

S C E N A V.

FANATYCKI, PODSTOLI,
PODSEDKOWA, KUNEGUNDA,
POBOZNICKA, ZOSIA,
WINCENTY.

FANATYCKI.

Prawdziwie ten gwałt wcale mi się nie podobał, y boję się żeby złych nie miał skutkow.

WINCEN.

Prożna jest boiażń W. Pana Dobrodzieia, wszak to Pan Starosta Szalaputski, gdy mu tradowano Dobra, Woźnemu dał sto Kijow. a Burgrabiemu pyśk wyciął, a cały interes na dwoie czternaštu grzywien się zakończył.

PODST.

Dosyć złe, że Prawa w takiey są pogardzie, iest to przywara w Rządzie, która zapewne za staraniem mądrego Prawodawcy poprawioną będzie.

X 114 X

FANAT.

A coż Mościa Dobrodziko, czy niewierzysz, ieszcze, że Obludnicki Zdrayca, y że pobożność iego potwarzą była.

POBOZNICKA.

Dla Boga! zadziwienie moje jest niepojęte, iakże on razem y nabożnym y tak złym bydź może? wszak to on codziem godzinki ze mną spiewał.

ZOSIA.

On też to spobożności y z miłości bliźniego uczynił, bo on sądzi, że Dobra y Bogactwa zhażwieniu zaszkodzić mogą, więc ie odbiera W. Panu, żebyś nie miał sposobu obrażenia Boga.

FANATYCKI

Otbyś lepiej milczała, zawsze niewczesne małż uwagi.

PODSED.

Coż teraz počniemy moy Mężu?

FANAT.

Nietroszcz się moja żonko, udam się iakem już powiedział, do naywyższej Magistratury, która niewinność moją, a niegodziwy potępek Obludnickiego, uzna zapewne.



SCENA VI.

SKARBNIKIEWICZ, FANA-
TYCKI, PODSTOLI, PODSĘD-
KOWA, KUNEGUNDA, ZOSIA,
WINCENTY, POBOZNICKA.

SKARBNIKIEWICZ [*pomieszany*]

Poniewolnie przychodzę zafinucić W. Pana Dobrodzieia, czynię to z powodu przywiązania, które mam ku niemu. Przyjaciel mój pewny wiedząc, jak mnie bardzo Dom W. Pana Dobr: interesuje, dał mi znać w tym momencie, że w wielkim zostałeś niebezpieczeństwie. O-błudnicki był u Dworu, y oddał Królowi pewną fzkatulkę, w ktorey bardzo ważne tajemnice znaydować się mają, y oraz oskarżył przed Królem żeś był społecznikiem wielkich Stanu występku, wyszedł tedy rozkaz do Policei, żeby W. Pana natychmiast arestowano. Nawet ten zdrajca ma tu przyiść z Instygatorem y żołnierzami, dla wykonania rozkazu tego.

PODST.

Patrz W. Pan iskich ten Zbrodzien używa podstępów y potwarzy, dla przywłaszczenia sobie Fortuny W. Pana.

FANAT.

Co to za poczwara piekielna.

SKAR-

SKARBNIKIEWICZ.

Nietrać W. Pan Dobrodziey czasu na próżnych wyrzekaniach, trzeba tu o ucieczce pomyśleć. Karetą moją jest tu za Pałacem, mam z sobą tysiąc czerwonych Złott; w gotowiznie, schroń się W. Pan czym prędzej przed tą burzą, ofiaruję się być Towarzystwem nieszczęścia Jego.

FANAT.

Wspaniały Młodzieńcze! czymże ci tę czułą odwdzięczę przyjaźń. Day Boże, żebym kiedykolwiek był w stanie wypłacenia się Tobie, y nim ten czas przyidzie, wam to zlecę staranie.

PODSTOLL

Jedź z Bogiem Braciszku, będziem my o tym pamiętać. . .

FANAT.

Zegnam was tedy kochana żonko, y dzieci. .



S C E N A O S T A T N I A .

OBLUDNICKI, INSTYGATOR
z Żołnierzami, FANATYCKI, POD-
SĘDKOWA, KUNEGUNDA, ZO-
SIA, SRARBNIKIEWICZ,
WINCENTY, TREFNICKI.

OBLUDNICKI.

HOLA! hola! powoli, nie spiesz się tak W.
Pan, wynalazłem dla W. Pana inżę zchronienie,
arefztuiemy W. Pana za rozkazem Królewskim.

FANAT.

Zdrayco! czy także mi płacisz za moje Do-
brodzieystwa! . . . tym że to szkaradnym po-
stępkiem złoczyńco! . . . chcesz swoją korono-
wać obludę?

OBLUD.

Te słowa zelżywe obrazić mnie nie potrafią,
nauczyłem się dla Boga wszystko cierpieć.

PODSĘDKOWA.

Bezecny Człowieku . . . pewnie y tę zdradę
czynisz z tego powodu?

WINCEN.

Niepocziwy! iakże się śmiesz tak bratać z
Bogiem?

X 118 X

OBLUD.

Wszystkie te obelgi nie wzruszą mnie bynajmniej, myślę tylko, abym powinności mojej zadość uczynił.

PODSED.

A to piękna powinność . . tak szkaradnym postępkiem iwym płacić Dobrodziejom.

OBLUD.

Moje kroki nie mogą być tylko chwalebne, gdyż ie za najwyższym czynię rozkazem.

FANAT.

Jakże nie pamiętasz niewdzięczniku . . żem cię z ostatniey wyciągnął nędzy?

OBLUD.

Tak jest . . wiem żem od W. Pana wiele odebrał wsparcia, ale interes Boski, y Królewski tak świętą jest dla mnie powinnością. żem dla tego przyjaciół, żonę, Rodziców, y siebie samego gotow ofiarować.

PODSED.

Potwarco niepocziwy!

TREF.

Jakże on śmie z interesiem Boskim zawsze wyieżdżać, musi on być plenipotentem Niebieskim.

FANAT.

Podobni potwarcy największe zbrodnie płazczykiem cnoty pokrywać umieją.

PODSTOLI.

Ale czemużś przedzey nie pokazał tey gor-
P ij

liwości? pociężesz czekał aż cię na bezecnym zdybano postępku? na cożes moy Świętoszku przyjmował zapisy od Brata mego, kiedy go występny sądziłeś? . . dopiero go zdradzasz, gdy cię zdomu za umizgi do swoiey żony wypędził.

OBLUD.

Mości Panie Instygator chciey mnie od tych hałaśow uwolnić, y rozkaz sobie dany wypełnić.

INSTYGATOR.

Dobrze żeś mi W. Pan o tym przypomniał; wykonywaiąc więc moią powinność zapraszam W. Pana z sobą do Prochowni, która mu za mieszkanie iest naznaczona.

OBLUD.

Co mnie Mości Panie Instygator?

INSTYGATOR.

A kogosz? W. Pana samego

OBLUD.

A mnie za co do Prochowni?

INSTYGATOR.

Nie mam przyczyny z tego się sprawować W. Panu. . . Zyiemy pod Monarchą nieprzyjacielem zdrady, którego potwarczy zwiesć niepotrafią. Ten Imię przychodząc oskarżać W. Pana zdradził siebie samego, bo Król z niektórych okoliczności odkrył w nim zdraycę, który pod innym Imieniem ieden z naypierwszych herztow *pewnego był spisku* a barziej przerażony czarną iego niewdzięcznością, niż występkiem obrażonego Majestatu, który wszystkim ucześnikom Jego łaskawie darował, zale-

cił Policji żeby na ukaranie do więzienia był wtrącony, będąc jednak ciekawym do jakiego by kresu złość jego poyść mogła, chciał aby mi był przydatny niby do aresztowania W. Pana, ale oraz mi zalecono żebym na wszystkie kroki jego pilne miał oko. Król Imć będąc przeświadczony o wierności W. Pana ku sobie, daruje mu to przewinienie, żeś przed nim sekret przyjaciela swego utaił. y przyrzeka mu nawet, że Ceflya Obludnickiemu uczyniona prawnie uchylona zostanie.

FANAT.

A niechże mu Bog za tę dobroczynność zapłaci.

POBOZNICKA.

Teraz dopiero przychodzę do siebie.

PODSĘD.

Jakaż pomyślna odmiana?

WINCEN.

Ktożby się tak szczęśliwego spodziewał przypadku?

INSTYGATOR.

No! a my po mału zabieramy się w drogę, hey wezcie Imć pod rękę, żeby nieupadł.

TREF:

Niechcefszże W. Pan Dobr: futra, bo tam w kozie diabelnie zimno.

ZOZIA.

Polecam mnie świętym modlitwom W. Pana Dobr: [*pierś chustką zakrywa naśmiewając się z niego*]

X 121 X

FANAT.

A coż teraz zdrayco? . . .

INSTYGATOR [*wychodzi a żołnierze
szarpią Obłudnickiego*]

PODST.

Nie łay go moy Braciszku, dosyć już jest ukarany, mieymy raczey nad nim politowanie, y życzymy mu, aby go ten przypadek na drogę prawdziwey cnoty naprowadził.

FANAT.

Dobrze mowisz moy Bracie, to zdanie wcale jest ludzkie. Będąc tedy pocieszonym w ucisku moim dzień ten szczęśliwy radości poświęcę. Mospanie Skarbnikiewiczu, dałeś mi wielki dowód przyjaźni swojej, radhym ci się wdzięcznym pokazać. Wiem że kochasz moją Corkę . . . y że ona cię barzo polubiła. . . . Nie prawdasz Kunusiu? . . . widzicie jaki to Rak upiekła, offiaruję ci ją moy kochany przyjacielu . . . a to z znacznym posagiem.

SKARB.

Pożyłkanie tej śliczney ręki naywiększym dla mnie będzie skarbem.

FANATYCKI. [*łączy ich*]

Zyćie w miłości y cnotie moje dzieci kochane, a sirzeszcie się zmyślonych Świętoszków, bo oni są gorli od poczwar piekielnych.

BIBLIOTHEKA KONIEC.



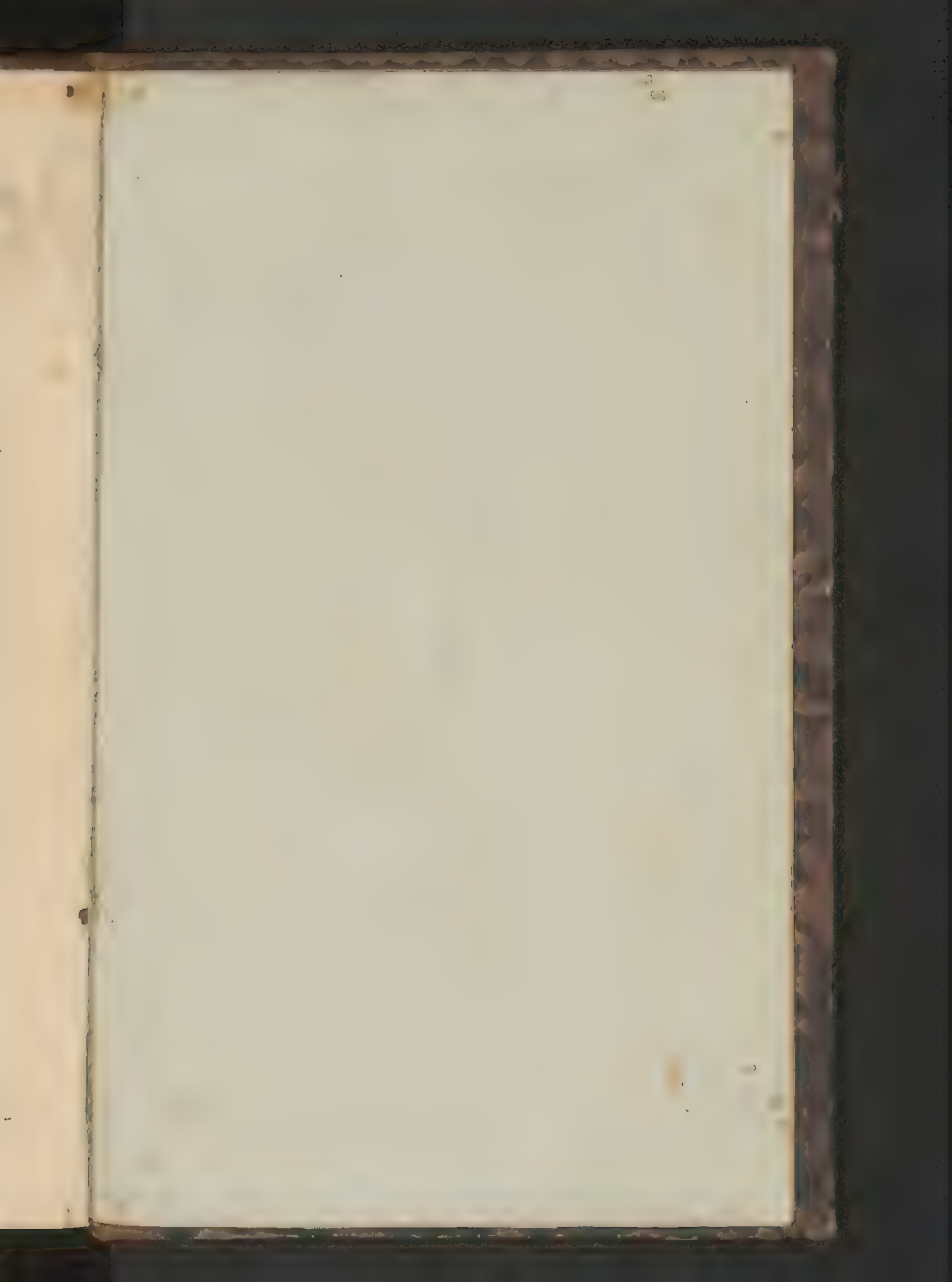
et

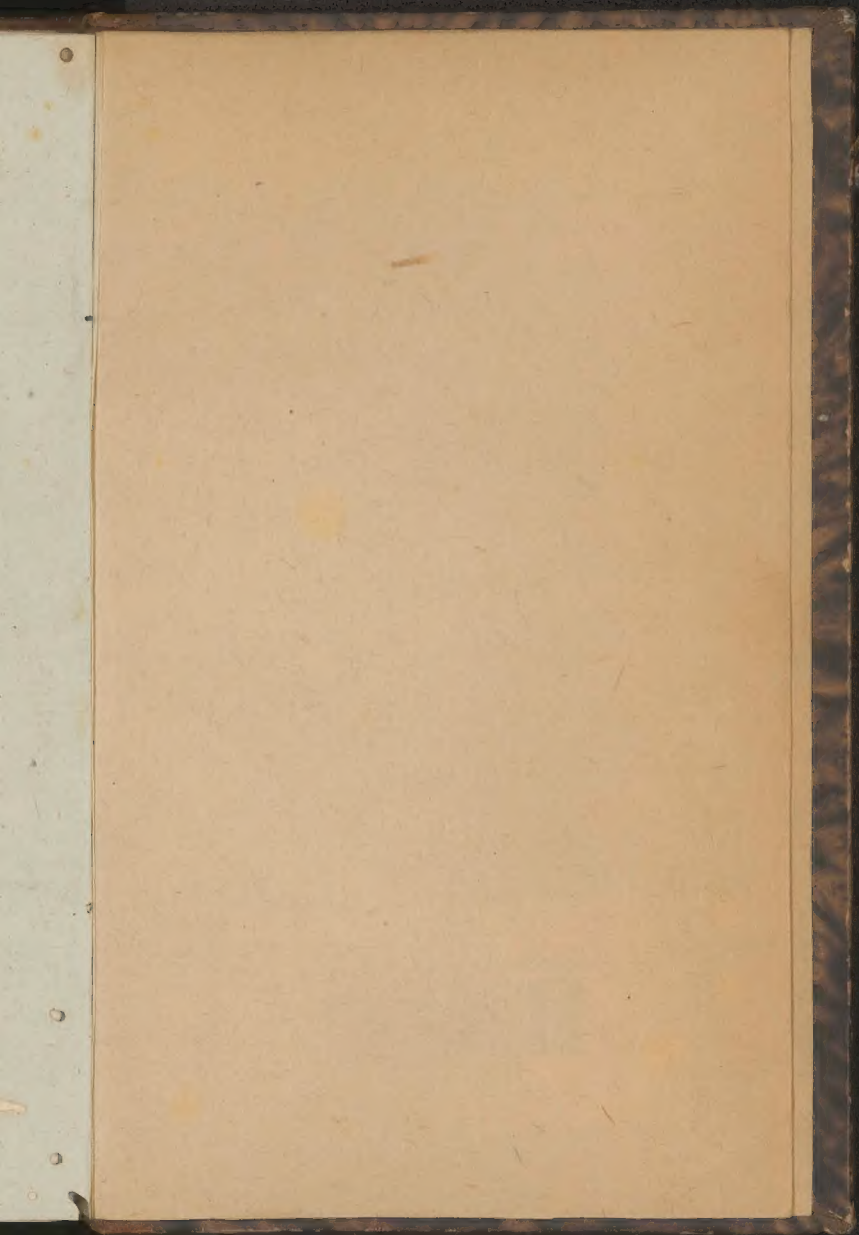
a-
y
ge

le
ku
e.
o-
e-
or-
lie
u-
lu

rm

co-
fz-
h.





Biblioteka Jagiellońska



stdr0025793

